№ 17. Warszawa, dnia 27 (15) Kwietnia 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BULANŻYZM NA WYGNANIU.

Już dawniej zaznaczyliśmy niespodziankę, jaką Francyi i zagranicy sprawił obecny gabinet Rzeczypospolitej. Wybrano go od biedy, dla zatkania dziury, „dla wystawy," bez wiary w jego zdolność i długie panowanie; tymczasem ta gromadka „karłów i miernot" pokusiła się o laury Herkulesa i zaczęła czyścić stajnię Augiaszową. Żaden z poprzednich, mimo że mu na chęciach nie zbywało, nie ośmielił się zrewidować dziupli, rozkopać nor bulanżyzmu i sprzymierzonej z nim ligi patryotycznej. Nawet Floquet usiłował zarżnąć Katylinę tylko językiem i poprzestawał na roli Cycerona. Tej pobłażliwości spisek zawdzięczał swój rozwój a obecni jego tępiciele — bogactwo materyału dowodowego. Bo zebrano podobno stosy, chociaż spłoszone stadko wiele z sobą do obcych krajów uniosło. Goethe radzi każdemu, kto porusza gniazdo os, ująć je mocno. Tej zasady usłuchał obecny rząd francuski. Nie bacząc na krzyki i pogróżki, nie odpoczywając w święta wielkanocne, wpuścił on jamniki do wszystkich lisich ganków, zbadał mieszkania, stoliki i biurka osób podejrzanych, wreszcie cofnął się do przeszłości i szuka śladów winy Boulangera wtedy, kiedy był jeszcze przy władzy. Któryś ze znakomitych prawników francuskich miał rzec: gdyby mnie oskarżono, że odłamałem wieżę z katedry paryskiej i schowałem ją do kieszeni w kamizelce, rozpocząłbym obronę od tego, że uciekłbym. Bulanżyści więc mogą powołać się na to rozumowanie i twierdzić, że chociaż zarzucone im czyny są równie nieprawdopodobne, jak kradzież wieży kościelnej, oni jednak rozpoczęli swą obronę od ucieczki, którą im nakazała przezorność. Sam więc fakt ich umknięcia nie byłby ostatecznie potępiającym, gdyby na niego nie rzucały światła złowione dowody formalnego spisku. Wobec nich wszelkie wykręty tracą swą siłę. Teraz już muszą jawnie stanąć przeciw sobie dwie strony: obrońcy Rzeczypospolitej takiej, jaka jest lub w prawidłowym rozwoju być może, i sprzysiężeni, dążący do wywrotu na korzyść dyktatury— dorobkiewiczowskiej lub dziedzicznej. Jak wiadomo, ci ostatni schronili się do Belgii, skąd myśleli dalej kierować spiskiem. Na przedstawienie wszakże posła francuskiego rząd belgijski uznał, że więcej dlań warta przyjaźń potężnej sąsiadki, niż miłość szajki warchołów i wypowiedział Boulangerowi gościnność. Zabrał więc pasterz swoją trzodę i wywędrował z nią do Anglii. Różnica w oddaleniu będzie tak nieznaczną, że na przebieg zatargu wpływać nie może. Ludzie niebezpieczni w Belgii nie staną się bezpiecznymi w Anglii, którą od lądu francuskiego oddziela zaledwie kilka godzin drogi. Nie w miejscu pobytu spoczywa punkt ciężkości ich zabiegów i knowań, ale w stosunku kraju do emigrantów. Mianowicie dziś chodzi o to: czy naród chce im powierzyć swe losy i czy rząd zebrał dostateczną sumę przekonywających dowodów przeciwko Katylinie i jego wspólnikom. Dotąd materyału tego nie znamy jakościowo, słyszeliśmy tylko o jego ilościowym ogromie. Zdaje się wszakże, iż bulanżyzm z tej walki zwycięzkim nie wyjdzie. Naprzód prąd ten nie jest czystym, lecz składa się z najrozmaitszych pierwiastków — republikańskich, uzurpatorskich, spekulacyjnych, monarchicznych, jest mieszaniną zasad i dążeń, łachmanem szytym nićmi nizkich i samolubnych rachub. Pomimo że nurtuje oddawna, nikt nie umiałby ściśle powiedzieć, czego on chce i co urzeczywistnić zamierza. Jest raczej płachtą warcholstwa, niż sztandarem idei. Powtóre roboty swe posunął już dość daleko, ażeby się skompromitować, a jeszcze nie dość daleko, ażeby na nich oprzeć zamach stanu. Bądź co bądź, rząd jest w posiadaniu powagi, uroku i siły; on broni Rzeczpospolitą od śmierci, on występuje w imię godeł szlachetnych, on rozporządza armią. Potrzecie, energią w wystąpieniu przeciwko spiskowcom ograniczył tolerancyę dla tego rodzaju pokuszeń, postawił zasadę nietykalności instytucyj państwowych i wskazał drogę postępowania swym następcom. Chociażby nawet obecny gabinet został usunięty, jego spadkobierca odziedziczy tradycyę i odwagę ścigania nieprzyjaciół Rzeczypospolitej. Mówimy: i odwagę — co jest wypadkiem pierwszorzędnego znaczenia. Dotychczasowe bowiem ministerya francuskie nie posiadały jej, poprzestawały na nienawiści i pogardzie dla bulanżyzmu, ale nie śmiały go podciąć w korzeniach. Dziś te skrupuły są już przełamane, pierwszy krok zrobiony, gwałtownego oporu on nie wywołał, to będzie zachętą dla dalszych.

Związek przyczyn i skutków bywa często nader dziwny. Podobno strach, ażeby awantury wewnętrzne nie zamąciły wystawy, napędził rządowi tej śmiałości. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to już Francya odniosła wielką korzyść z tego przedsięwzięcia, które w założeniu swojem nie miało nic wspólnego z jej polityką wewnętrzną.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z kolei urządzili bezrobocie w Wiedniu woźnice tramwajowi, którzy jeszcze ani razu nie występowali z takim buntem. Jest ich tam blizko pięciuset, na wypowiedzenie zaś wojny swym pracodawcom wybrali święta wielkanocne, kiedy zapotrzebowanie tramwajów jest największe i kiedy publi-

czność mogła najliczniej wmieszać się do starcia. Jakoż było ono burzliwe, nawet krwawe. Policya nie mogła dać sobie rady z tłumem obrzucającym kamieniami te wagony, które wyruszyły na tor i musiano zawezwać pomocy wojska. Spór, roznamiętniający obie strony, trwa dotąd: kompania najmuje nowych woźniców, dawni zaś na czele gromad ulicznych tamują bieg tramwajów. Naturalnie i ten zatarg, jak wszystkie podobne, zakończy się zwycięztwem silnych, o tyle jeszcze zupełniejszem, że daleko łatwiej zebrać nowych furmanów, niż robotników uzdolnionych do pewnej pracy specyalnej.

Cisza świąteczna tak szeroko rozpostarła swe skrzydła nad Europą, że gdyby nie zmowa woźniców wiedeńskich i farsa Boulangera, uwaga publiczna nie miałaby prawie materyału do przerabiania w nudach. O tej farsie doskonale mówi *Gazeta warszawska*: „Nigdy może blaga nie gospodarzyła tak w polityce, jak obecnie, dzięki Boulangerowi. Wyrobiła sobie ona swój własny cynizm, przygotowała sobie mnóstwo chińskich garnków z piaskiem i urąga logice, a zasypuje oczy. Nawet taki jasny, ściśle określony fakt, jak wydalenie z Belgii, daje tej bladze jeszcze pole do matactwa. Nie wydalony, bo dekretu nie było, lecz tylko „uproszony“ do opuszczenia kraju, i nie na zawsze, lecz tylko do 15 maja: jakżeby śmiało takie małe państewko wypędzać tak wielkiego człowieka! Jeden z dzienników bulanżerowskich przypomina, że generał dawniej już przyrzekł odwiedziny przyjaciołom swoim w Londynie — nic więc dziwnego, że tam wyjeżdża. *La Presse*, redagowana przez Laguerre'a z Brukselli, zapowiada powrót, skoro tylko powozy z Paryża nadejdą, a głupi zupełnie telegraf, obwieszczający światu nawet łzy księżny d'Uzès umyślnie na pożegnanie przybyłej, oznacza już termin stały powrotu na 15 maja! Blaga korzysta z uprzejmości dziennikarstwa, które ciekawością i gadatliwością swoją tyle się może przyczyniło do wielkości Boulangera, ile jego własne czcze słowa i kłamane hasła—i szerzy się dalej i szerzyć się będzie tak ciągle, dopóki siebie samej nie doprowadzi *ad absurdum*. Nawet ów statek w Ostendzie czekający, nawet droga żelazna z Duwru do Londynu zostają na służbie tej wszechpotężnej blagi — zastępującej teatralnemi dekoracyami, strojami i bielidłem rzeczywiste zasady, wpływy i czyny.“

Jednym z głównych komedyantów tej błazenady jest senator Naquet, który — jak słusznie przypomina *Gazeta* — niegdyś grzmiał przeciw kościołowi katolickiemu, przeprowadzając prawo rozwodowe, a obecnie uśmiechami satyra mizdrzy się do katolików. Gdyby przynajmniej w całej tej bandzie był jeden człowiek rzetelny, prawy, wierny stale zasadom, któryby usprawiedliwiał jej powodzenie wobec gawiedzi!

W Berlinie ma niedługo rozpocząć swe obrady konferencya w sprawie wysp Samoańskich, która określi prawa rozmaitych mocarstw do tego łupu. Amerykanie przysłali na nią delegatów znanych z nieprzyjaźni dla Niemiec, z ich więc strony można się spodziewać postawy twardej. Ks. Bismark — jak przekonywa świeżo ogłoszony dalszy ciąg „Księgi białej“ — zekpał swego konsula należycie za zuchwalstwa i nadużycia władzy w Apii, po tylu porażkach kolonizacyjnych zdradza wyraźnie chęć do ustępstw i zgody a w każdym razie wyzywająco występować nie chce — z tej więc krainy, zdaje się, Niemcom złote runo nie przypadnie.

Za to kanclerz zwyciężył w intrydze dworskiej. Znany antisemita i patentowany łgarz, kapelan obozu konserwatystów pastor Stöcker oddawna już drażnił go i osłonięty protekcyą monarszą usunąć się nie chciał. Nareszcie cesarz dał nadwornemu kaznodziei do wyboru: albo urząd bez polityki, albo politykę bez urzędu. Stöcker wybrał dar pierwszy i zobowiązał się nie prowadzić agitacyi. Że słowa nie dotrzyma i dalej korzystać będzie z opieki pewnych sfer —tylko ciszej — można być pewnym.

Cesarz Wilhelm podjął znowu przerwane wizyty i odwiedza władców drobniejszych. Wybiera się również do Anglii, ale przedtem ma przyjąć u siebie króla włoskiego, któremu jednak liberałowie, niechętni przymierzu z Niemcami, zagradzają drogę. Ale Crispi prze monarchę do swych „przyjaciół“ i niezawodnie go do nich zawiezie.

Przy wyborach do sejmu z okręgu Pleszewo - Jarocin - Września wyszedł z urny znaczną większością głosów powołany adwokat Dziembowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOLONIZACYA NIEMIECKA W POZNAŃSKIEM.

Według sprawozdania z r. 1888, dotychczas zakupiono w Ks. Poznańskiem 37,386 hektarów ziemi za 22 miliony marek. Z tych przestrzeni przeznaczono na kolonizacyę 10,972 hekt., na których osiedlono 545 rodzin. Z liczby 545 uorganizowanych gospodarstw małych: 337 obejmujących przestrzeń 6,451 hekt., oddano albo w zamian za rentę albo za czynsz dzierżawny. „Czas jest zbyt jeszcze krótki — pociesza się komisya— aby można było ostatecznie zawyrokować o zdolności i pracowitości kolonistów. W każdym razie zaznaczyć należy objaw, że tylko 4% zawiodło oczekiwania.“ Z początku liczba ochotników na parcele kolonizacyjne była spora, ale gdy przekonano się, że komisya w wyborze jest bardzo wybredna, ilość się zmniejszyła a natomiast jakość moralna miała się podnieść. Skutkiem szczęśliwego doboru kolonistów, zdolni i pracowici gospodarze na własną rękę za pomocą namowy ściągają swych krewnych z południowych Niemiec. Komisya notuje nawet taki wypadek: włościanie z południowych Niemiec wysłali sześciu deputowanych do Ks. Poznańskiego w celu obejrzenia ziemi na miejscu i osądzenia, czy warto osiąść w tych stronach. Komisya nie szczędzi im ze swej strony zachęty i ułatwień: przyrzekła urządzić działki według ich woli i życzeń, z uwzględnieniem przyzwyczajeń. Podług obliczeń można będzie zupełnie zalać Ks. Poznańskie żywiołem niemieckim za 100 milionów marek ośmiu tysiącami rodzin. Ma komisya w swem gronie wytrawnych ludzi, którzy jednak nie mogą pojąć tak prostej zasady, iż dążenia polityczne nie zawsze idą w parze z ekonomią społeczną. Napróżno prasa niemiecka rozdymała fakty, notując skwapliwie przybycie każdego kolonisty na kresy wschodnie; prawa gospodarstwa rolnego nigdy nie ulegną obcym wpływom. Sporo czasu i energii zużyto nad obmyśleniem takiej formy własności drobnej, któraby przybyszów przykuwała do nowego miejsca; sztuczne wytwarzanie przywiązania do obcego gruntu na nic się nie zdało; najwięksi nawet patryoci-koloniści myślą o wyzyskaniu protekcyi państwowej na korzyść własnego trzosa. Komisya doznawszy wiele zawodów stara się doskonalić swą metodę. Między innemi przyszła do tego przekonania, iż odstępowanie drobnych parceli w zamian za rentę (*Rentengüter*) nierównie więcej ma widoków powodzenia. Z tej właśnie przyczyny sejm pruski uchwalił powyższą formę małej własności rozszerzać w całem państwie. Forma ta własności gruntowej oddawna jest znana w pruskiem prawie cywilnem. Pomyślano więc tylko

HOMUNKULUS.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNA

Roberta Hammerlinga.

Wiek obecny, chrzczony tysiącem trafnych i nietrafnych nazw, wiek pary i elektryczności, wiek wielkich wynalazków technicznych, wiek mieszczaństwa i walki kapitału z pracą, wiek pesymizmu i powszechnego zdenerwowania, wiek fizycznego i moralnego zwyrodnienia, wiek militaryzmu itp. itp. oczekuje na swoją satyroepopeję, która odbiłaby rysy jego podwójnego oblicza, jego potęgę i nędzę zarazem. Nie zestarzał się wprawdzie jeszcze genialny *Don Juan*, ale od czasu Byrona rozwarło się mnóstwo nowych przepaści, zaogniło się mnóstwo ran społecznych, powikłało mnóstwo zagadek, brutalna siła wystąpiła z większą bezczelnością, zgnilizna rozpostarła się szerzej, wzmógł się przesyt i wzrosła niedola, uczucia zlodowaciały bardziej, gorączka złota podniosła się wyżej, małpowanie wielkich idej dosięgło szczytu bezmyślności, wrzawa doktrynerów, obwołujących swoje cudowne lekarstwa na choroby ludzkości brzmi hałaśliwiej, rozum nadął się cyniczniej, wypierając uczucie, ludzkość zrobiła szalony krok naprzód — i teraz właśnie grzmoty, zwiastujące burzę, przeciągają nad światem i zalega ciemna noc, wśród której słabe, a kochające serca z utęsknieniem oczekują świtu. Do odlania tego wszystkiego w formy artystyczne potrzeba nowego, a potężnego mistrza słowa i myśli.

Po części to wielkie zadanie pokusił się wypełnić największy pono dzisiaj niemiecki poeta, Hammerling, w najnowszem swojem dziele (1888) *Homunkulus*, które sam nazywa „współczesną epopeją.“ Krytyka przyjęła jego utwór rozmaicie: jedni z entuzyastycznym zapałem dla „łabędzia z Gracu,“ drudzy niemal chłodno z uwagą, że Hammerling „zestarzał się.“

Jak zrozumiał on i wykonał podjęte przez siebie zadanie, czytelnicy nasi osądzą z przytoczonego poniżej przekładu dwóch pieśni poematu (pierwszej i ósmej) i z dopełniającego je streszczenia.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Z retorty.

Brawo! — wyrzekł Homunkulus,
Całkowicie wykończony,
Z jakiejś wielkiej wprost retorty
Wyskoczywszy śmiało na stół
Uczonego, głębokiego
I doktora i magistra,
Co po trudach niepojętych,
Mocą sił tajemnych chemii,
Z pierwszych bytu elementów
Stworzył go, zestawił, złożył
Ku najwyższej chwale wiedzy.
„Brawo, mój doktorku!“ — krzyknął
Po raz wtóry, otulając
Ziębłe członki kaftanikiem,
Co tuż w pogotowiu leżał;
I poklepał miłościwie
Swego twórcę po ramionach.
„Tak, wogóle i z czystego
Fizyologo-chemicznego
Patrząc punktu, mój kochanku,
Utwór twój — to kąsek pracy
Godny pochwał i szacunku.
No, w szczegółach, naturalnie,
Da zarzucić się niejedno...“
Ciągnąc dalej w takim sensie

o pewnych zmianach odpowiednich do warunków obecnych. Według dawnego prawa wolno było ustanawiać rentę gruntową najwyżej na lat trzydzieści. Następnie miała ona być skupioną. Dziś warunki terminowe nie mają znaczenia, uprawniony zaś do renty może zastrzedz, iż bez jego pozwolenia własności nie wolno dzielić, odprzedawać lub gospodarstwa zawieszać. Obciążonemu rentą służy, w razie odmowy, prawo pozwolenia na zwrócenie się do odpowiedniej władzy. W tej nowej jednak formie własności samowola z obu stron jest w pewnym stopniu ograniczona. Chwycono się na razie formy renty gruntowej, gdyż ona przy kanalizacyi wewnętrznej ułatwiała znalezienie nabywców; należało tylko poczynić pewne ograniczenia prawne co do skupu, gdyż każdy kolonista mógł znaleźć łatwo nabywcę i wycofać się z gospodarstwa. Ta okoliczność zastanowiła najwybitniejszych prawników niemieckich (w zakresie prawa cywilnego). Żądali oni przedłużenia terminu okupu renty, tak iż obecnie zależną ona będzie od umowy, na ile lat jest ustanowiona.

W postępowej prasie niemieckiej wielką wrzawę wywołały powyższe ograniczenia. Utrzymywała ona, iż jest to powrót do dawnych stosunków feudalnych. Półurzędowa starała się uspokoić te obawy, odejmując im wszelką zasadę. Dotychczasowa mała własność nie przeistoczy się przecież w dobra rentowe, skoro uczyniono pewne ograniczenia; dopiero w przyszłej kolonizacyi forma powyższa będzie uwzględnianą. Płonne są również obawy, aby obecna własność mała przeistoczoną była przez samych włościan kolonistów na dobra rentowe. Włościanin bowiem, jeśli sprzedaje nabytą działkę, to po to jedynie, aby wycofać resztę kapitału.

SZKOŁA GÓRNICZA.

Nr. 76 *Prawit. Wiest.* ogłosił szczegółowe przepisy dla przyszłej szkoły w Dąbrowie. Zakład ten ma na celu przygotowanie sztygarów tudzież monterów górniczych i podlega władzy ministeryum dóbr państwa, a kontroli naczelnika kopalń rządowych w Królestwie Polskiem. Fundusze na utrzymanie tej instytucyi (17,600 rs. rocznie) wydaje skarb państwa. Bezpośredni zarząd składa się z dyrektora i rady. Do tej ostatniej wchodzą, oprócz dyrektora, nauczyciele religii i innych — dwóch inżenierów okręgowych Królestwa Polskiego i dwóch przedstawicieli wybieralnych właścicieli kopalń. Obowiązki rady: a) przyjmowanie lub oddalanie kandydatów; b) wydawanie świadectw z ukończenia kursu; c) wybieranie podręczników; d) rozstrzyganie innych spraw, dotyczących wykładów. Wszelkie sprawy rozstrzygane są większością głosów, przyczem w razie równości orzeka głos dyrektora. Do prawomocności zebrania potrzebna jest obecność przynajmniej połowy członków. Wszystkie postanowienia rady dyrektor przedstawia naczelnikowi kopalń rządowych. W razie nieporozumień ostateczną wyrocznią jest departament górniczy, rozstrzygający wszystkie sprawy ważne. Dyrektora szkoły nominuje p. minister dóbr państwa z pośród inżenierów górniczych; dyrektor ze swej strony mianuje profesorów, którymi mogą być: do wykładu przedmiotów specyalnych inżenierowie-górnicy; do przedmiotów ogólnych osoby, posiadające prawo do wykładania w zakładach naukowych średnich. Kurs szkoły składa się z następujących nauk: 1) religia, język ruski i polski, arytmetyka, algebra, geometrya, trygonometrya; 2) specyalnych: zasady fizyki, chemii, geodezyi, mechaniki i budownictwa, mineralogii, geologii, nauki górnictwa i sztygarstwa, metalurgii i próbierstwa, rysunków, buchalteryi, prawa górniczego, nauki niesienia pomocy w razie wypadków. Oprócz słuchania wykładów uczniowie obowiązani są pracować w laboratoryach. Nadto obowiązujące są nauki: ciesielstwa, stolarstwa, ślusarstwa, kowalstwa i praca w warsztatach mechanicznych. Kurs dzieli się na cztery klasy roczne. Wyższe składają się z dwóch oddziałów: górniczego i przemysłowego. Środki pomocnicze: 1) biblioteka, 2) zbiory mineralogiczne i geologiczne, 3) muzeum modelów, 4) laboratoryum chemiczne i 5) warsztaty.

Do szkoły mogą być przyjmowani kandydaci bez różnicy stanu i wyznań, poddani ruscy, oprócz żydów. W razie wakujących miejsc mogą być przyjmowani obcy poddani, lecz z pośród mieszkańców miejscowych. Kwalifikacye: a) wiek 15—20 lat, b) fizyczna zdolność do zajęcia w przyszłości obowiązków sztygara lub montera, c) znajomość kursu dwóch klas szkół wiejskich, albo odpowiadających im zakładów naukowych. Kandydaci z powyższemi kwalifikacyami muszą nadto zdawać egzamin z języka ruskiego i arytmetyki. Opłata roczna za naukę 25 rs. może być wnoszona w ratach półrocznych po 12 i pół rs.

Osoby, które ukończyły szkołę, po przesłużeniu roku w kopalniach rządowych, prywatnych lub szkołach przemysłowych, otrzymują tytuł sztygara albo montera. Świadectwo z praktyki rocznej powinno być stwierdzone przez miejscowego naczelnika górniczego lub inżeniera okręgowego. W razie niemożności przedstawienia takiego świadectwa w trzy miesiące po ukończeniu praktyki, kończący kurs otrzymują tylko świadectwa z rezultatami ostatecznego egzaminu; ci zaś, którzy nie zdali ostatecznego egzaminu, otrzymają na żądanie świadectwo o postępach w czasie uczęszczania do szkoły. Ci, którzy otrzymają stopień sztygara lub montera, po spędzeniu dziesięciu lat przy robotach technicznych w zakresie górnictwa, otrzymają przywileje obywatelskie, jeśli ich skutkiem swego pochodzenia nie posiadali. Wszystkie te przepisy Najwyżej zatwierdzono 25 lutego r. b.

Drogomir.

NOWA USTAWA KARNA
w państwie austryackiem.

Nowa ustawa karna, wniesiona obecnie przez ministra sprawiedliwości hr. Schönborna, jest już czwartym z rzędu projektem reformy prawodawstwa kryminalnego, jaki w krótkim stosunkowo przeciągu czasu powstał w biurze austryackiego ministerstwa sprawiedliwości. Teka jego przechodziła ostatnimi laty z rąk do rąk, a zanim w komisyach skończono obrady nad projektem nowego ministra, już minister i projekt znikali z widowni. Istniejące dotychczas ustawodawstwo karne jest na wskróś przestarzałe a surowość jego, zwłaszcza w odniesieniu do przestępstw politycznych, uniemożliwiała trybunałom ściśle wykonywanie przepisów. Bezpośredni więc poprzednicy hr. Schönborna pragnęli je zmienić w duchu liberalnym; on zaś znalazł gotowy projekt, oparty na zasadach humanitarnych i postępowych. Wycisnął tedy na nim piętno dążeń owego stronnictwa, przy pomocy którego zdobył tekę, włtoczył kilka paragrafów reakcyjnych, odnoszących się do przestępstw politycznych i wyznaniowych. W rzędzie zalet nowej ustawy wyliczyć należy na pierwszem miejscu przepis, który znajduje uznanie w całej niemal prasie europejskiej: po odsiedzeniu pewnej części kary więziennej, poprawiający się skazaniec otrzymuje wolność z za-

---

Nasz Homunkul począł sypać
Mnóstwo zdań uczonych, uwag;
Prawił wiele o fibrinie,
Albuminie, globulinie,
Keratynie i mucynie,
O mięszaniu prawidłowem,
I o wielu innych rzeczach —
Swego twórcę i rodzica,
Pouczając, w jaki sposób
Lepiej mógł go był wykonać.
Potem przejrzał tuż leżące
Masy książek, wziął z nich jedną
I rozwalił się na krześle.
Doktor, milcząc, stał na stronie
I z respektem patrzył z boku
Na swój utwór, niewymownie
Doń podobny: takież miał on
Słabe, mgliste, mądre rysy;
Tylko, że ze zmarszczek starzej
Syn wyglądał, niżli ojciec;
Z drugiej jednak strony, miał on
Wygląd dziecka, lub też — karła.
Wkrótce począł nasz Homunkul
Ganić i wydrwiwać książkę,
Którą właśnie trzymał w ręku.
Uderzyło to doktora,
Więc zapisał w swym notesie:
„Pierwszy odruch literacki
W lada człeczku — krytykować.“
A tymczasem Homunkulus
Popadł w zapał Zoilowski
I rozwinął naraz dowcip
Tak gryzący, ostry, pieprzny,
Że aż doktór poczuł w nosie
Podrażnienie i chciał wyjść już,
By wykichać się, zjadliwca
Zostawiając w swej pracowni, —
Gdy w tem malec rzucił na bok
Stary szpargał, i ziewając
I kołysząc się na nóżkach,
Oczywiście już znudzony,
Kiwnął naraz na rodzica.
„Ej-no, tatku, słuchaj!“ — począł.
„Czego żądasz?“ — spytał tamten.
„Powiedz-no mi, proszę, jak ci
Wpadł do głowy dziwny pomysł
Fabrykować mnie, mnie właśnie.
Czemuś raczej się nie rzucił.
Na alchemii starej pole?
Toć na świecie dość już ludzi!
Bryła złota znacznie lepiej
Opłaciłaby twe trudy.
(A propos, jak stoi Agio?)
Złoto, widzisz, procentuje;
Wszystko inne jest chimerą.
Jesteś, widzę, marzycielem!
Teraz, mój idealisto
Musisz karmić mnie, odziewać.
O, już czuję głód, pragnienie!“
Wnet rozkazał doktór przynieść
Z niedalekiej restauracyi
Pieczeń i najlepsze wino,
I szlachetne dary boże
Kładzie przed Homunkulusem.
Lecz ten tylko dłubie pieczeń,
W wonnem winie język zmaczał,
Krztusi się i gębę krzywi,
W wargę ugryzł się, grymasi,
Stroi miny takie, jakby
Ból żołądka czuł, trze brzuszek,
I na krześle się wykręca.
Napój znalazł obrzydliwym,
Jadło zaś niestrawnem, wstrętnem;
I wyprosił sobie gumę,
Kofeinę, siarkę, przy tem
Czystą szklankę alkoholu.
Gdy się tem napoił znośnie,
Do pytania swego wraca:
„Jakżeś wpadł, kochanku, na myśl,
Aby mnie wyprodukować?“
„Mój wspaniały, luby płodzie!“
Odrzekł wówczas zapytany:
„Tyś wynikiem naturalnym
Wiedzy i postępu nauk.
Wiedzieć — jest to módz, kochanku!
Stworzyć ciebie było właśnie
Tak na czasie, jako nigdy;
Stworzon jesteś, bośmy mogli,
Bo wiedzieliśmy, wierzyli,
Że możemy. Więc się stałeś!
Tyś w powietrzu niby wisiał!
Mocą praw i potrzeb czasu
Zjawiasz się, jak fiołki w marcu,

strzeżeniem, że w razie ponownego wykroczenia będzie musiał dopełnić karę pierwotną. Do zmian humanitarnych należy wprowadzenie nieistniejącego dotychczas w Austryi rodzaju więzienia dla przestępców politycznych: zamiast, jak dotychczas, w *Zuchthausie*, przestępcy ci przebywać będą w więzieniu państwowem, zapewniającem lepszą żywność i pomieszczenie, połączonem z większą swobodą ruchu i z całkowitą swobodą zajęć umysłowych. Wreszcie zaletą nowej ustawy są obostrzenia skierowane przeciw wyzyskiwaniu głupoty i nieświadomości ludzkiej, zwłaszcza przeciw nadużyciom kupców sprzedających gotowe towary na wypłaty. Jeżeli więc z jednej strony nie można odmówić ustawie uznania, iż odpowiada duchowi czasu, to z drugiej strony podnieść należy, że w tendencyi tej jest zbyt skrajną; stosuje się ona tak daleko do wypadków najnowszych, niemal jednodniowych, że zasługuje raczej na miano kodyfikacyi ustaw wyjątkowych, niźli na nazwę ustawy karnej. I tak zawiera osobny paragraf o socyalistach, osobny o dynamitardach; nowy paragraf, zwany w kołach parlamentarnych „Geffckenowskim," który opiewa zdradę ważnych tajemnic państwowych, zalicza się do zdrady stanu.

W duchu reakcyjnym obostrzono ustanowienie skierowane przeciw przestępstwom religijnym. Jedyny paragraf ustawy dotychczasowej, odnoszący się do tych przestępstw, zastąpiono całym szeregiem przepisów, z których jeden wyznacza karę za podkopywanie wiary w Boga, podczas gdy dotychczas karano jeno bluźnierstwo. Najsilniejszą atoli broń oddaje nowa ustawa do rąk reakcyi w paragrafach o przestępstwach politycznych. Srogość dotychczasowej najczęściej wychodziła na dobre oskarżonym, gdyż trybunał przysięgłych tylko znaczne wykroczenia dozwalał karać według brzmienia ustawy, innych przestępców uwalniał. Obecnie wprowadzono reformę pozornie liberalną, w praktyce jednak stanowiącą obostrzenie: ustanowiono kary mniejsze, rok lub dwa lata więzienia, za przestępstwa polityczne, o których wyszczególnieniu dokładniejszem ustawa nie zapomniała, korzystając z doświadczeń lat ostatnich. Tworząc nowe, „humanitarne" więzienie, postarano się o to, aby cele jego nie stały pustkami.

—*n.*

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGICZNE POGLĄDY HERBERTA SPENCERA.

I.

Herbert Spencer cieszy się u nas niezwykłą popularnością, przynajmniej daleko większą, aniżeli w Niemczech. Jednakże nasza znajomość poglądów tego myśliciela jest stosunkowo bardzo nieznaczną w porównaniu z posiadaną u nas przezeń sławą. Inaczej zresztą być nie mogło. Z podstawowych dzieł jego przetłomaczyliśmy zaledwie jedną *Etykę*, inne bowiem już tem samem, iż znajdują się po za obrębem podjętego przezeń systemu filozofii syntetycznej, mogły tylko doryweczo zapoznać naszą publiczność z teoryą myśliciela angielskiego. Lukę tę zapełnia ukazujące się obecnie wydanie *Filozofii syntetycznej*. Wyszły już *Pierwsze zasady* i pierwszy tom *Socyologii*. Korzystając z tego, wyłożymy w ogólnych zarysach całokształt poglądów autora. Przedewszystkiem jednak winniśmy rzec słów kilka o samym systemie syntetycznej filozofii i jej znaczeniu. W ostatnich czasach zdarzyło się nam słyszeć kilkakrotnie głosy niezmiernie obniżające wartość prac naukowych Spencera; zauważymy, iż wychodziły one zwykle z ust ludzi, którzy chcieliby naukę sprowadzić do suchego zasobu faktów i pozbawić wszelkiego charakteru ogólniejszego, przedewszystkiem zaś dążności ku wyświetleniu stanowiska człowieka w przyrodzie i skazać jedynie, że tak rzekniemy, na ułatwianie i ulepszanie kunsztu kucharskiego. Już samo pochodzenie tych zarzutów osłabia ich doniosłość. Nauka bowiem tylko o tyle posiada głębsze znaczenie, o ile rozprasza mroki myśli ludzkiej i wysnuwa bardziej uzasadnione pojmowanie przyrody. I oto *Filozofia syntetyczna* obok *Pozytywnej* zjawia się jako jedna z najszerszych i najpierwszych prób zestawienia całego ogromu wiedzy ludzkiej w tym zaiste wzniosłym celu i, co ważniejsza, jako oparta ciągle na podstawie ściśle naukowej i przytem tak dostępnie ułożona, iż umożliwia bardzo szerokim kołom zapoznanie się z założeniami, na których spoczywa nauka, oraz najgłówniejszemi wynikami tej ostatniej. Wiedza występuje w postaci nowego systemu kosmiczno-filozoficznego z przeznaczeniem — wtargnięcia do licznej publiczności. Rozpatrując rzecz z tego stanowiska, mamy tu do czynienia z swego rodzaju ewangelią. Z takiego właśnie punktu należy przedewszystkiem oceniać znaczenie *Filozofii syntetycznej* i trzeba przyznać, że odpowiednie wpływy rozpostarła ona bardzo szeroko. Ilość rozkupionych egzemplarzy w obrębie niektórych części, zwłaszcza zaś *Pierwszych zasad*, oraz pierwszego tomu *Socyologii*, rozważającego powstanie wierzeń religijnych, jest chyba niemniej znaczną, jak niektórych dość poczytnych powieści. (Mówiąc to, mamy na myśli jedynie oryginał angielski). To dostatecznie przemawia za społecznem znaczeniem działalności Spencera. Same wywody oddzielne mogą być zbyt pospieszne lub przypadkowo oparte na faktach niesprawdzonych należycie, lecz okoliczność ta nie zmniejsza bynajmniej tego, cośmy powiedzieli. Zresztą, poglądy Spencera wywarły wpływ jeszcze donioślejszy. Moglibyśmy przytoczyć zdanie Darwina, nader wysoko stawiającego wyniki biologicznych uogólnień autora *Filozofii syntetycznej*. I zaiste, dość przypomnieć, iż Spencer, jeszcze przed ujawnieniem prac Darwinowskich, wystawił zasadnicze twierdzenia, na których opierają się wywody twórcy transformizmu organicznego, ażeby zrozumieć, że działalność myśliciela angielskiego posiada głębokie znaczenie naukowe. W tej mierze warto zwrócić uwagę na rolę, którą odegrały *Zasady socyologii*. I zaiste, bez przesady możemy nazwać Spencera ojcem społecznoznawstwa nowoczesnego. Wprawdzie i przed nim widzimy usiłowania oparcia dziejów ludzkości na materyale porównawczo-etnograficznym, lecz dopiero on jął się tej drogi w szerokim zakresie i wyrobił prawo obywatelstwa. Zresztą, niewiele znam imion, któreby rozwojowi socyologii dały tak silną podnietę, jak jego poszukiwania. I tego znaczenia nie utraciły jego prace po dziś dzień, jakkolwiek na każdym kroku mamy tutaj do czynienia z błędnem postawieniem kwestyi i oparciem dowodzeń na pofałszowanym materyale. Przytem, aczkolwiek moglibyśmy wskazać wiele dzieł socyologicznych, które głębiej oświetliły przeszłość tego lub innego urządzenia społecznego, lecz mimo to, dla każdego studyującego, *Socyologia* Spencera obok niedawnej pracy Lipperta pozostają jedynemi źródłami poznajomienia się z całokształtem rozwoju socyologicznego.

Ród ludzki stanowi zaledwie pojedynczą dziedzinę przyrody i jego rozwój społeczny jest tylko jedną z kartek ogólno-wszech-

---

Zjawiasz się, jak chrząszcze w maju,
Lub jak bocian, ptak wędrowny!"
„Dzięki za ten zaszczyt!" — rzecze
Homunkulus; ale zważ-no,
Za com tobie złożył dzięki...
Bo co tyczy się ogółu
Moich uczuć, świadomości
Mego bytu, tego życia,
Któro-ś dał mi, to doprawdy
Nie wiem, czy ci będę wdzięczny.
Niech mnie licho porwie, jeśli
Dobrze czuję się w tej skórze,
Którą-ś utkał mi tak zręcznie:
Dręczy mnie piekielna nuda!
Przerażony doktór zaklął:
„Tam, do dyabła! pocznę wierzyć,
„Że już jesteś zblazowany!"
„A wierz sobie!" — ziewnął na to
Homunkulus.
A po chwili,
W ton płaczliwy wpadłszy, począł
Skarżyć się, że czuje w ciele
Różnych moc dolegliwości;
Kiedy doktór ze współczuciem
Jął go bliżej rozpytywać,
Stęknął tylko: „Moje nerwy!
Ach, te nerwy!" A gdy doktór
Wziął go za puls, poczuł jawnie,
Że się ten co moment zmienia:
To, jak w febrze galopuje,
To po chwili przypomina
Chód opornej szkapy starej.
A Homunkul wciąż się skarżył,
To na krwi burzliwość, to znów
Na anemię; rodzicowi
Czynił zarzut, że za mało
Wziął żelaza, gdy pierwiastki
W swej retorcie wielkiej mięszał.
„Ach, trawienie źle mi idzie,"
Stękał dalej, „i newralgie
Skubią mnie od stóp do głowy.
Spakuj zaraz moje kufry,
Muszę jechać wnet do kąpiel!"
„Urojone są twe bóle,"
Uspokajać jął go doktór.
A Homunkul: „Nie, rzecz cała,
Żeś w szczegółach mnie spartolił;
A ja za to pokutuję!"
Przykro było doktorowi
Słuchać słów tych, więc powiada:
„Cofasz pierwsze twoje brawo?
Mniemasz, żeś się z niem pośpieszył?
Zły twój humor, widzę, wzrasta.
Ha, bezwstydny i niewdzięczny
Jesteś, chłopcze! Mnie zawdzięczasz
Tę tu skórę i te kości,
Tę krew oto i te tkanki,
I ten oddech i te zmysły,
I tę myśl; tak, mnie zawdzięczasz,
Jeśli na tej ziemskiej kuli
Twoich latek z osiemdziesiąt,
Tak jak ludzie urodzeni,
Będziesz żył i kochał, cierpiał!
„Osiemdziesiąt lat? To nie złe!",
Odparł na to twórcy wyrób.
„Mam już teraz życia dosyć!
Jest-li dobrem owo życie?
Nie wiesz, że jest lepszym niebyt?
Hola, zdaj-no mi rachunek,
Jak i jakiem prawem śmiałeś
Wydać mnie na świat, jak śmiałeś
Gwałtem wpleść mnie w koło bytu,
Skazać mnie na nędzę waszą,
Na wasz głód, na wasze brudy,
Na istnienia straszną nudę?
Czyliż jam cię o to prosił?
Nie leżałem-że rozkosznie
Na nicości łonie? Powiedz,
Jakże mogłeś z snu mnie budzić—
Na nic mnie i na nic sobie —
Zmuszać, abym wbrew swej woli
Wlókł się z wami w tym żebraczym
Mniszym istot korowodzie."
„Co za niechęć!" — krzyknął doktór,
„Istny z ciebie hipokondryk,
Przyjrzyj się pięknemu światu
I *używaj!*
Homunkulus
Zaśmiał się: „Co? mam się przyjrzeć
Światu? Dobryś! Toć-że oczom,
Które ty mi dałeś, świat ten
Marną wyda się fuszerką,
Jako ja sam! A używać?

światowej ewolucyi, oto zasadniczy punkt wyjścia wszystkich socyologicznych wywodów Spencera. W ten sposób dziedzina życia społecznego podlega prawom rozwojowym, rządzącym i resztą przyrody i przedstawia tylko szczególne ich wcielenie. Uzasadnienie tego poglądu, oraz przeprowadzenie rozumowań w tym względzie znajdujemy w *Pierwszych zasadach*, gdzie też skreślono całokształt ewolucyjnego biegu wszechświata. Wspomniane dzieło stanowi niejako wśród filozofii syntetycznej teoryę poznania — *Erkenntnissteorie*, jeżeli użyć mamy terminologii niemieckiej. Myśliciel angielski wyznacza tu granice pomiędzy poznawalnem a tem, co dla człowieka pozostać musi niezbędnem. Czy weźmiemy początek wszechświata, czy istotę przestrzeni i czasu, siły i materyi, wreszcie własnej świadomości, wszędzie napotykamy w ostatecznym rezultacie znak zapytania, którego usunąć nie jesteśmy w stanie. Słowem, pierwotna i zasadnicza istota rzeczy pozostaje dla nas i musi pozostać niedoścignioną. Możemy jedynie badać sposoby, w jakich się ona nam uwydatnia, oraz powiązanie tych ostatnich. Jesteśmy np. w stanie wykryć, według jakich zasad rozmaite objawy niepoznawalnego, zwane ruchem, elektrycznością, światłem itd., wzajem się na siebie przekształcają, lecz na tem z konieczności musimy już poprzestać, sama bowiem istota wewnętrzna tego, co się wypowiada za ich pośrednictwem, jest dla nas niemożliwą do zrozumienia. Znamy i znać możemy jedynie skutki nieznanej przyczyny bytu — nic nadto. Wyjawy niepoznawalnego umysł nasz ujmuje według stałych model — przestrzeni i czasu, materyi i ruchu. Wszelkie zmiany, gdziekolwiekbądź by się odbywały — od tych, które powoli przeinaczają budowę naszej mlecznej drogi aż do chemicznych lub społecznych, wszystko to są zmiany we względnem położeniu części składowych. Każą się zatem one domyślać jakiegoś nowego rozmieszczenia materyi, a więc i ruchu. I oto przedstawienie dziejów i zjawisk wszechświata, a między niemi także socyologicznych w wyrażeniach materyi i ruchu, takiem jest ostateczne zadanie *Filozofii syntetycznej*. Naturalnie, każda dziedzina zjawisk posiada właściwe sobie w tej mierze prawa, któremi szczegółowo zajmują się *Zasady* biologii, psychologii i socyologii, lecz nadto wszystkie one, jako oddzielne części wszechświatowej materyi i ruchu, wraz z astronomicznemi i geologicznemi, podlegają jeszcze ogólniejszej zasadzie zmienności, której wykładowi i zbadaniu poświęcone są *Pierwsze zasady*. Tą wielką zasadą jest prawo rozwoju. Na czem ono mianowicie polega? Zarówno cały wszechświat, jak i pojedyncze jego dziedziny, na które się on rozpada, są widownią bezustannego całkowania się (skupiania) materyi i jednoczesnego rozpraszania się ruchu. Stopnioweześrodkowywanie się pierwszej uwydatnia się na każdym kroku, czy to weźmiemy przeszłość mgławiczną naszej mlecznicy i porównamy ją ze stanem dzisiejszym, czy zatrzymamy się na wzroście pojedynczego organizmu. W każdym ustroju owemu ogólnemu całkowaniu się i skupianiu rozproszonych cząsteczek materyi, będącemu przyczyną wzrostu, towarzyszą skupiania miejscowe, tworzące to, co nazywamy narządami. Rozważmy np. społeczeństwo. W jego obrębie mamy do czynienia z takiem skupianiem materyi w fakcie liczebnego wzrastania ludności i jednocześnie z drugorzędnem zjawiskiem tego rodzaju — podnoszeniem się zaludnienia oddzielnych miejscowości drogą drugorzędnego już rozmieszczania się jednostek. Lecz na tem nie kończy się sprawa rozwoju. Obok przejścia od rozproszonego stanu materyi doześrodkowanego odbywa się jeszcze inna przemiana — od jednorodności ku różnorodności. W miarę jak materya, stanowiąca układ słoneczny, przybierała postać bardziej zgęszczoną, jednolitość układu ustępowała miejsca rozmaitości. Zakrzepnięciu ziemi (tj. skupianiu materyi) towarzyszył postęp od stosunkowej jednokształtności stanu gazowego do niezmiernej rozmaitości, którą spostrzegamy obecnie. Wszelka roślina i zwierzę, w miarę swego posuwania się w rozwoju, przechodzą także od prostoty ku złożoności. Wreszcie taki sam przebieg spostrzegamy w postępie społecznym — od pierwotnej hordy, nieznającej żadnych władz, ani najmniejszego podziału pracy, ku stanowi zróżniczkowanemu obecnych społeczeństw cywilizowanych. Z wzrastaniem zaś niepodobieństwa pomiędzy częściami wzmaga się odrębność i wyrazistość, oraz wzajemne powiązanie itd. Tym zmianom rozmieszczania materyi odpowiadają stosowne przekształcenia w dziedzinie ruchu. Nie wdajemy się w drobiazgowe rozpatrywanie zasad, według których podąża ewolucya dotychczasowa przyrody, gdyż to odsunęłoby nas jedynie od bezpośredniego celu i streścimy tylko ostateczne jej wypowiedzenie. Otóż jest ona całkowaniem i skupianiem materyi, a zarazem rozpraszaniem się ruchu, przyczem materya przechodzi od stanu nieokreślonej i niespojonej jednorodności ku wyraźnie określonej i spojonej różnorodności. I właśnie dzieje społeczne ludzkości, wyrażone w terminach materyi i ruchu, są tylko szczególnem zastosowaniem powyższej zasady. W ten sposób sprawa rozwoju społecznego zostaje pojęta jako rozwój pewnej cząstki wszechświatowej materyi. O ile wiemy, pierwszy Spencer oświetlił społeczeństwo z tego stanowiska. Uczynił jednakże to nadzwyczaj ogólnikowo i nieściśle, co można zresztą tem wytłomaczyć, iż przedmiot rozważał on jedynie mimochodem na równi z innemi zjawiskami—astronomicznemi, geologicznemi i biologicznemi i w ciągłem rozerwaniu. Z tego powodu jego przedstawienie ustępuje pod wielu względami późniejszym, które się na nim wzorowały *). Lecz myśliciel angielski nie ogranicza się tylko do stwierdzenia faktu ewolucyi, usiłuje bowiem jeszcze znaleźć przyczyny, które ją wywołują, oraz na tej podstawie skreślić przyszłość prawdopodobną wszechświata. Przyjrzyjmy się wywodom w tej mierze, rozumie się znowu tylko o tyle, ile to potrzebnem nam będzie do zrozumienia tkanki poglądów i twierdzeń socyologicznych. Mianowicie każdy skończony agregat jednorodny musi utracić swoją jednorodność wskutek niejednakowego podlegania jego części składowych działaniu sił zewnętrznych. Prawda ta wykazuje swe działanie zarówno w całem zbiorowisku, jak i w każdej pojedynczej części z pośród tych, na które się tamto rozpadło. Lecz każde zwiększenie rozmaitości wywołuje jeszcze dalsze wzmożenie się jej na przyszłość — dla tylko co wskazanej przyczyny. Pomnażanie się rozmaitości podąża w stosunku geometrycznym do uczynionych już postępów w tym kierunku. Lecz rozpraszanie i rozmieszczanie ruchu, które spostrzegamy wśród wszystkich tych przejść, zdradza bardzo wydatną dążność — wyłonienia stanu statecznej równowagi. W ten sposób każda dziedzina zjawisk, w tej liczbie i społeczna, zmierza ku zupełnemu spoczynkowi. W odniesieniu do ludzkości będzie to zupełno przystosowanie się do warunków zewnętrznych bytu — okres najwyższej doskonałości fizycznej, umysłowej i społecznej...

---

*) Najbardziej naukowem przedstawieniem rozwoju społecznego w terminach materyi i ruchu, tj. jako cząstki ogólno-kosmicznego procesu jest praca socyologiczna ruskiego pisarza Jużakowa w przeszłorocznych numerach czasopisma *Siewiernyj Wiestnik*.

Ha, używać! Ze zmysłami
Które-ś dał mi, przy tem słowie,
Lotem żar me ciało przebiegł,
Ale zaraz rozum, który
Mam od ciebie, moją duszę
Lodowatym ziębił chłodem...
Używanie!.. mam się rzucić
Między żar i chłód, — i trwać tak,
Pół gorzejąc, pół kostniejąc?“
Przy tych słowach wzrok małego
Padł przypadkiem na wiszący
Tuż na ścianie w ramach portret
Jakiejś pięknej młodej pani.
„To kobietka!“ — rzekł, cmokając,
„Co za oczy! jakie usta!
A policzki! a te kształty!“
Nie mógł się napatrzeć dosyć
Na ten obraz i z uciechy
Jął nóżkami nagle tupać.
Z przyjemnością tak poprawny
Wybuch uczuć widział doktór:
„Kochaj, bratku, ucz się kochać!
To cię wkrótce z tych kaprysów
Złych uleczy! Pragnę właśnie
Ładną wybrać ci dziewczynę,
Dam ci ją za żonę, chłopcze;
Poznasz, co to miłość, wierność!“
„Miłość, wierność?“ — rzekł człowie-
I wybuchnął wraz szyderczym [czek,
Głośnym śmiechem, aż komnata
Drgnęła: obraz spadł ze ściany.
„Idealizm, marzycielu!“
I tak coraz gorzej skrzeczy,
Coraz srożej wciąż szaleje,
Bez litości drwi z biednego
Swego twórcy, wciąż partaczem,
Ignorantem go nazywa,
A szczególnie mu wyrzuca,
Że zbyt wiele weń fosforu
Wsypał, robiąc go w retorcie:
„Delikatny tak organizm,
A fosforu, jak dla konia!“
Stąd to masa jego mózgu
Myśląc, ślęcząc, płonie ciągle
Jak stos węgla; płomień myśli
Prawie z głowy mu wybucha
I jaskrawem swojem światłem
W każdy kąt śmietniska świata
Analizą swą przenika,
Tak, że jedno mu zostaje:
Wyleźć zaraz ze swej skóry
I gdzieś zabrać się do licha!
„Ha, wdzięczności?“— skończył wreszcie
Szydząc gniewnie, „chcesz wdzięczności,
Za to, żeś mnie stworzył, bratku?
Dobrych kijów spora ilość
To nagroda zasług godna!“
Zatrwożony, ze współczuciem
Schylił się nad malcem doktór,
Potem zbliżył się do ściany
I otworzył małą skrytkę,
Chcąc lekarstwo wyjąć jakieś
Dla chorego. W szafce krył się
Zbiór dobrany różnych trucizn:
Mnóstwo małych flaszek stało,
Szeregami ustawionych,
A na każdej widniał napis
Czysty, zdobny; mogłeś czytać
Tam „arszenik,“ „cyankali,“
I tak dalej, i tak dalej...
Chciwie w flaszki wpił się wzrokiem
Homunkulus; jakby kotka,
Liże wargi swe łakomie,
I ot, naraz, w okamgnieniu
Skoczył, kawał arszeniku
Porwał, chce go gwałtem połknąć;
Z wielkim trudem zdołał doktór
Jad odebrać; pochlebstwami
Go łagodzi. Ciągle myśląc,
Coby począć z swym wytworem,
Uznał wreszcie za najlepsze
Uśpić go natychmiast zdradnie
Za pomocą hypnotyzmu.
Więc znienacka w kark mu dmuchnął, (?)
Mocno wpatrzył mu się w oczy;
Potem wedle zasad kunsztu
Obie skronie mu naciska,
Wodzi ręką, — i po chwili
Rozpostarty w wielkiem krześle
W śnie spoczywał Homunkulus.
„Chwała Bogu!“ umęczony
Szepnął wraz chemiczny ojciec,
I westchnienie długie ulgi

Oto osnowa kosmiczna rozwoju społecznego. Społeczeństwo jest tylko cząstką przyrody i przedstawia właściwą całemu wszechświatowi sprawę rozmieszczania postępowego materyi i ruchu — skupiania pierwszej, rozpraszania drugiej. Wszystkie przekształcenia, którym ono podlega, są wynikami niezrównoważania się sił kosmicznych, działających w jego łonie, z innemi, zewnętrznemi, a cały przebieg społeczno-ewolucyjny — jedynie dążeniem do osiągnięcia podobnego stanu równowagi. Na tym ogólnym podkładzie prawa kosmiczno-ewolucyjnego, wyłożonego w *Pierwszych zasadach*, Spencer wznosi gmach socyologii, która jest już wypowiedzeniem społecznego rozwoju nie w terminach kosmicznych materyi i ruchu, lecz w społeczno-ludzkich kategoryach: urządzeniach politycznych, rodzinnych, religijnych kościelnych, przemysłowych itd. Do wyłożenia podstaw, charakteru i doniosłości socyologicznych wywodów angielskiego myśliciela w terminach społecznych zwrócimy się w następujących numerach *Prawdy* *).

Lud. Krz.

WYNALAZKI.

Aliaż tytanu, krzemu i glinu. Wöhler otrzymał ten nowy aliaż, lecz skład jego dotąd zachowuje w tajemnicy; tenże sam jednak aliaż pozyskał obecnie Lucyan Lévy. Aliaż tytanowy, jak się zdaje, jest mieszaniną dwóch ciał izomorficznych razem skrystalizowanych, które wyraża formuła $Ti\,Al^3$ i $Si\,Al^4$.

Lévy do otrzymania tego aliażu, użył 10 gramów tytanu, 35 gramów drutu glinowego, pociętego na małe kawałki, 35 gramów chlorku sodu stopionego i 35 gramów chlorku potasu również stopionego. Wszystko to przechodzi do tygla glinianego, urządzonego w ten sposób, aby dopływał do niego strumień wodoru czystego i suchego, ogrzewanego w piecu Perrot'a przez półtora godziny. Po oziębieniu powolnem otrzymuje się blaszki skrystalizowane w gangu z glinu i chlorku stopionego, które traktuje się wodą wrzącą, a następnie osad metaliczny rozpuszcza się w kwasie chlorowodnym, mocno rozścieńczonym. Kwas nieco stężony rozpuszcza aliaż i otrzymuje się wtedy z osadu przepyszne blaszki połyskujące. Blaszki te nierozpuszczalne w wodzie alkoholu i eterze, są barwy stalowej, ciężkości gatunkowej 3.11; przedstawiają one grupy krystaliczne, w których pod mikroskopem uwidoczniają się kąty 90 stopni; blaszki te bardzo kruche, są doskonałymi przewodnikami ciepła.

Rozgrzane do czerwoności w tlenie wytwarzają piękne iskry żółte, nie płoną zaś gdy je niedostatecznie ogrzano. Na aliaż ten nie oddziaływa siarka stopiona, pary selenu, fosforu i arszeniku. Gazy haloidalne, jako to chloru, bromu, jodu, działając nań wytwarzają: chlor, iskry żółte, brom i jod płomienie czerwone. Potaż rozpuszcza cokolwiek ten aliaż na zimno, na gorąco zaś w zupełności; przyczem wywiązuje się wodór. Amoniak nie wywiera nań żadnego wpływu.

Nowa lampa bezpieczeństwa. Na posiedzeniu paryskiej akademii nauk w miesiącu ubiegłym, Daubrée przedstawił lampę bezpieczeństwa pomysłu inżeniera Fumat'a. Od przyrządów tego rodzaju wymagane są pewne warunki trudne do pogodzenia z sobą. Powinny one dawać dobre światło; płonąć nawet wtedy, gdy są poruszane, lub gdy znajdują się w położeniu pochyłem; nie przepuszczać płomienia na zewnątrz, gdyby nawet na nie działał najsilniejszy prąd powietrza, które w zetknięciu z gazem węglowodornym kopalni wywołuje eksplozyę; nie przepuszczać na zewnątrz płomienia nawet wtedy, gdy w lampie nagromadzone gazy wybuchają w skutek zetknięcia się z jej płomieniem; wreszcie lampy te, pomieszczone w ośrodku, jakkolwiek nie eksplodującym, lecz zawierającym węglowodór w znacznej ilości, nie powinny w skutek swej wewnętrznej konstrukcyi, przedstawiać temperatury, któraby zdolną była rozgrzać do czerwoności siatkę metaliczną, ochronną, osłaniającą lampę. Dla zadość uczynienia tym głównym warunkom i wielu innym drugorzędnym, od czasu odkrycia Davy'ego budowano lampy bezpieczeństwa najrozmaitszej konstrukcyi.

Lampa wynalazku Fumat'a odpowiada najzupełniej tym wszystkim wymaganiom. Jest przenośną, pali się jasno, nawet w powietrzu zanieczyszczonem gazami wybuchowymi i nie gaśnie choćby pozostawała w ruchu najżywszym.

Wszystkie te przymioty lampa zawdzięcza swej konstrukcyi i szczęśliwemu ustosunkowaniu swych wymiarów.

Doświadczenia z nią odbyte przez pp. Mallard'a i Le Châtelier'a, dały rezultaty świetne.

Lampa Fumat'a pozostawiona przez dwadzieścia minut w mieszaninie eksplodującej, odnawianej bez przerwy, nie przepuszczała płomienia na zewnątrz. Wystawiona na prąd silny mieszaniny eksplozyjnej gazu i powietrza, szybkości $4\frac{1}{2}$ metrów na sekundę, lampa nie przepuszcza płomienia, jakkolwiek nadawano jej najrozmaitsze pochylenia w kierunku prądu gazowego.

Jednem słowem lampa Fumat'a najzupełniejsze przedstawia bezpieczeństwo górnikowi pracującemu w kopalniach.

Ciało ludzkie zmetalizowane. *Przycisk ze zwłok dziecka.* Myśl przetworzenia w statuę miedzianą za pomocą galwanoplastyki ciała ludzkiego, a tem samem wzniesienia ludziom słynnym posągu a zarazem grobowca, urzeczywistnioną została przez chemika Kergovatz'a w Brest.

Nowy proces jego ma zastąpić balsamowanie zwłok. W tym celu ciało nieboszczyka przyjmuje pierwszą warstwę po zanurzeniu w kąpieli azotanu srebra, która to sól pod wpływem światła rozkłada się i pozostawia powłokę srebrną na całej powierzchni ciała. Powłokę miedzianą przyjmują zwłoki następnie w kadzi, zwykłymi środkami galwanoplastycznymi.

Osadza się w ten sposób trupa w powijaku hermetycznym, miedzianym, ochraniającym zwłoki od wszelkich wpływów zewnętrznych.

Wynalazca liczył znać wiele na próżność ludzką; znajdą się zawsze spadkobiercy, którzy zapragną w ten widoczny sposób złożyć hołd nieboszczykowi. Nikiel, srebro i złoto dozwolą dekorować zwłoki najrozmaiciej, odpowiednio do gustu i zamożności klienta.

Liczne próby wykonane na częściach ciała ludzkiego i zwłokach zwierząt z tego rodzaju metalizacyą, powiodły się najzupełniej; na podstawie ich Kergovatz proces swój stawia wyżej niż dotychczasowe grzebanie zwłok lub ich palenie.

Profesor Motta z Turynu jeszcze dalej posunął studya tego rodzaju. Zamiast konserwowania zwłok, zamierzył on odtworzyć niektóre części ciała w całym ich rozwoju. Za pomocą pewnego preparatu chemicznego, którego tajemnicę uniósł ten chemik z sobą do grobu, mo-

*) Dotychczas w języku angielskim wyszło 6 części socyologii, traktujących o rozwoju religijnym, ogólno-społecznym, rodzinnym, zwyczajowym, politycznym i kościelnym. Prospekt tegoroczny zapowiada jeszcze kilka dalszych, z których najbliższy nosi nazwę *Urządzeń zawodowych i przemysłowych.* Nadto autor zapowiedział dalsze tomy *Etyki*, które należy uważać za część oddzielną *Socyologii.* Prócz *Zasad socyologii*, Spencer jest jeszcze kierownikiem nader cennego wydawnictwa *Socyologii opisowej* — zbioru surowego, lecz według pewnych rubryk uporządkowanego materyału etnograficzno-socyologicznego. Ukazało się 8 zeszytów, obejmujących ludy pierwotne Azyi, Polinezyi, Ameryki, Afryki, wygasłe cywilizacye Ameryki środkowej i Peru, Fenicyi i Judei, oraz rozwój społeczny Francyi i Anglii.

Z jego piersi się wyrwało.
„Ryzykuję, że ten hultaj
Jeszcze mnie wypoliczkuje!
A, to istne jest dyablątko!
No, duchowo mi się udał.
Ale co się tyczy mocy
Ciała, soków mięszaniny,
Konstytucyi organizmu,
A stąd uczuć i humoru, —
No, w tem sęk jest. To rzecz dziwna,
Że w tej eksperymentalnie,
Materyalnie utworzonej,
I chemicznie zbudowanej
Formie bytu właśnie owo
Materyalne, to cielesne,
Naturalne — tak jest słabem;
Gdy przeciwnie duch i umysł
Bujnie w kwiat się rozwinęły.
Jam odwrotnych czekał skutków.
Trudno przeczyć: deficyty
Są w życiowem gospodarstwie
Młodziutkiego organizmu:
Jednak funkcyonuje — żyje!
Ma słabości, czuje bóle:
Ale jądro — głowę oddam
W zakład — to mi się udało;
I do wielkich czynów został
Powołany ten człowieczek.
Wielką rolę grać on będzie,
Jeśli w świat ten wejdzie jeszcze!
Ale takim, jakim dziś jest,
Wejść nie może! Nie powinien
Zginąć — prawda; lecz nie może
Zostać takim! Czekaj chłopcze,
Hola, trzymam cię za słowo!
Troszkę ciebie „lepiej zrobię!"
Przyspieszony był twój rozwój,
„Sforsowany" — w tem był błąd mój —
Przez zbyt wielki stopień ciepła,
I przez zbytnią wielkość dawek.
Winien byłem za natury
Iść przykładem; ona nigdy
Jednym rzutem się nie wyrwie
Z tem, co ścicha zamierzyła;
Wie, gdzie czego użyć trzeba:
Tam hamulców, tu znów bodźców;
I w procesie ewolucyi,
Po spiralnej form ślimaczych
Wijąc się w odstępach, w przerwach,
To co chce, powoli spełnia.
Tak, mój chłopcze, z twoich nauk
Chcę skorzystać, — znów do tygla
Ciebie wrzucę, zredukuję
Do pierwotnej, zarodkowej
Pra-zasady! Otrzymaną
Czysto materyalną drogą,
Wydystylowaną dobrze,
Pra-materyą bytu, którą
Raz już pięknie wydzieliłem, —
(Był to wzniosły tryumf wiedzy!) —
Tę zachowam ja troskliwie.
Lecz, by indywidualniej
Mógł wykształcić się i lepiej
Zaród ów — inaczej muszę
Postępować z nim *ab ovo!*
Chodź mój burszu! nie trwóż-no się
O swe życie, bo twe *punctum*
Saliens dobrze zachowane:
I w istocie pozostaniesz
Tem, czem jesteś; na twą korzyść
Przekształcony tylko: milszy,
Okazalszy i piękniejszy!"
Z temi słowy wrzucił doktór
Uśpionego Homunkula
Nazad do retorty swojej;
Tam rozłożył i sprowadził
Do bytowej pra-zasady,
Którą odkrył tak szczęśliwie,
Wrócił go do stanu „embryo,"
Zmienił go na prawidłową,
Miękką bryłkę protoplazmy.
A gdy mu się to udało
Po nieopisanych trudach,
Wówczas w sposób tajemniczy
Skrycie zaród ów przeszczepił
W macierzyńskie łono żony
Bakałarza wiejskiej szkółki.

dyfikował on skład tkanek, nie zmieniając w niczem ich formy; następnie zastępował osadem elektrolitycznym miedzi, wszelkie części ulegające rozkładowi, i urzeczywistniał w ten sposób metalizacyę wewnętrzną organu. Tą drogą spreparował wiele okazów, którym znawcy nie szczędzili pochwał, zwłaszcza biustowi kobiety, głowom mężczyzn i dzieci.

Śmierć nie dozwoliła mu doczekać spełnienia jego marzeń, których celem było zmetalizowanie całego ciała.

Amerykanie i na tej drodze usiłują współzawodniczyć z Europą i to w sposób iście oryginalny. Doktór Cooper z Pittsburga, w Stanach Zjednoczonych, wynalazł proces, który według jego opinii zastąpić może z *korzyścią* balsamowanie zwłok równie jak ich palenie, gdyż jest ekonomiczniejszym, a co ważniejsza, *utylitarnym*.

Cooper poddaje ciało nieboszczyka ciśnieniu prasy hydraulicznej, w wielce wysokiej temperaturze, i otrzymuje małą bryłę, ścisłą, zbitą, twardą, bezwonną i nieulegającą żadnej zmianie pod wpływem czynników atmosferycznych, podobną z wejrzenia do blatu marmurowego.

Ciało człowieka dojrzałego redukuje się wtedy do objętości sześcianu średnicy 33 centymetrów.

Na stoliku zacnego doktora leży elegancki przycisk do papierów, wytworzony... ze zwłok dziecka!

Bądź co bądź utylitaryzm d-ra Coopera, dla nas przynajmniej, jest wstrętnym.

Gaz z wiórów. Zdaje się, że gaz z wiórów w niedalekiej przyszłości zastąpi gaz z węgla otrzymywany. Wytwarza go obecnie fabryka Jerzego Walter'a w Desoronto (Ontario).

Użytkują w niej z wiórów jodłowych, dobrze wysuszonych, które dają z beczki 50,000 do 80,000 stóp sześciennych (560 do 850 metrów sześciennych) gazu oświetlającego.

Retorty użyte przy tej operacyi nie różnią się niczem od zwykłych, lecz proces oczyszczania gazu jest całkiem inny, gdyż ciała zanieczyszczające go nie reprezentują produktów wytwarzających się przy otrzymywaniu gazu z węgla, a kwas siarczany i amoniak znajdują się tu w ilościach bardzo małych.

Z drzew żywicznych najkorzystniej jest ten gaz pozyskiwać, gdyż drzewa te są nietylko bogatsze w produkty gazowe, ale nadto gaz z nich wywiązany posiada siłę oświetlającą w znacznie wyższym stopniu od gazu wytworzonego z węgla. Osuszanie i przygotowanie materyj pierwotnych odbywa się tu mechanicznie. W krajach lesistych, gdzie drzewo jest stosunkowo taniem, a węgiel drzewny, smoła, ocet drzewny, alkohol, mają zbyt zapewniony, fabrykacya gazu z wiórów mogłaby z korzyścią konkurować z gazem z węgla pozyskiwanym.

Gaz z wiórów zdaje się być powołanym do odegrania ważnej roli w eksploatacyi leśnej, gdyż przedstawia środki zużytkowania szczątków poczytywanych za bezwartościowe po wykarczowaniu lasów, które jednak dzięki temu procesowi, dostarczą siły motorowej i cieplikowej, koniecznych dla postępu wszelkiego przemysłu, połączonego z eksploatacyą leśną.

Nowy proces pobielania. PP. Borthel i Moller z Hamburga wynaleźli nowy proces pobielania naczyń kuchennych i wogóle statków żelaznych. Zastępuje on dotychczasową manipulacyę, która niekiedy stawała się niebezpieczną; chroni od rdzy żelazo i blachę używaną w architekturze, zastępuje wreszcie w zwykłej galwanizacyi użycie cynku, który, jak wiadomo, w tym razie reprezentował warstwę ochronną. Gdy chodzi o pobielenie wyrobów, operacya rozpoczyna się od pokrycia ich osadem żelaza, chemicznie czystego, otrzymanego w sposób następny. Przyspasabia się kąpiel, mieszając roztwór 600 gramów siarczanu żelaza, roztworzonych w 5 litrach wody z roztworem 2,400 gramów tejże soli, rozpuszczonych w 5 litrach wody. Wytwarza się wtedy osad żelaza, który rozpuszcza się w małych ilościach w stężonym kwasie siarczanym, aż do otrzymania płynu barwy zielonej. Dodaje się naówczas 20 litrów wody i pozyskuje kąpiel kwaśną, zdolną zabarwić na czerwono papier błękitny twinesodu. Przedmioty, mające się pokryć warstwą żelaza, pomieszczone zostają w kąpieli w końcu przewodnika elektrycznego, połączonego z biegunem ujemnym stosu, lub machiny dynamoelektrycznej, żelazo zaś lub blacha żelazna pozostają w kąpieli połączone z biegunem dodatnim. Po przepuszczeniu prądu, przedmioty pomieszczone przy biegunie ujemnym pokrywają się warstwą żelaza, której grubość zależną jest od czasu trwania operacyi i siły natężenia prądu. Po wydobyciu przedmiotów z kąpieli, zmywa się je wodą czystą, obrusza i zanurza w roztworze amoniakalnym chlorku cynku, a w końcu w zbiorniku napełnionym cyną stopioną. Cyna wówczas przylega silnie do naczyń.

Jeżeli przedmiot jest za wielki, aby mógł być zanurzonym w kąpieli cynowej, osadza się na nim cynę drogą galwaniczną. Toż samo następuje, gdy chodzi o pobielenie ołowiu lub innego metalu topliwego.

Co do przedmiotów żelaznych, pobiela się je wskazaną metodą, bez poprzedniego pokrywania ich warstwą żelaza chemicznie czystego.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

OCZEKIWANIA I OBAWY.

II.

Gdyby *Cham* p. Orzeszkowej był wizerunkiem w księdze żywotów świętych, to bym go oprawił w ramki uwielbienia i wybrał sobie za patrona, a innym zalecił uczynić toż samo. Niestety, ma on być tylko kwiatem, zerwanym na rozległych niziznach społecznych, kwiatem, ukrytym przed oczami tych, którzy mieszkają w pałacach arystokratycznych. Otóż — ja w nich nie mieszkam i nie zamieszkam bezwątpienia nigdy, lecz okiem, które mi szeroko otwierały obawy straszliwe, nadzieje słoneczne i ukochania gorące, patrzałem niekiedy na niziny owe, a w słuchu moim zlewały się echa, które wstrząsały, jak odgłosy burzy, niebem chmurnem, nad nizinami nawisłem. Gdybyż te echa wszystkie zestroiły się w jeden głos prawdy i wysłowić ją mogły: kwiat taki, jaki w ręku p. O. widzimy, na nizinach, ani na szczytach gór nie wyrasta nigdy—tam ludzie tylko wyrastają, a w duszach ich ludzkich uczuć kwiaty!

Ideę bezmiernego miłosierdzia, przebaczenia wszelkich obraz i rozpięcia własnej duszy na krzyżu bólów dla odkupienia win cudzych—ideę tę ludzkość uczciła w Chrystusie, a wobec tego ideału bluźnierstwem—jeśli nie śmiesznym błędem — jest chęć wcielenia jej w ułomną postać człowieczą! Biedne te chamy! mówią o nich: to bydlę, lub: to święty, nikt nie powie: to człowiek!

Z dwojga złego wolę już, gdy szlachcic chama wyklina i zwie go bydlęciem, każdy wtedy rozumie, że szlachcic łże, bo wie on dobrze, że ma do czynienia ze „sprytnym" człowiekiem i niebezpiecznym współzawodnikiem na polu ekonomicznem, a mówiąc: to bydlę, uspokaja tylko niejasne obawy, które w nim się budzą. Słowa jego znaczą wtedy tyle, co: nie bójmy się; trzymajmy się kupy, bo wilk tuż— lub w tym rodzaju. Nieporównanie szkodliwszą jest rzeczą, gdy ręka wielkiego talentu odziewa chłopa w szaty świętości i takiego bohaterstwa, jakiemu wątpliwą jest rzeczą by sprostać mógł nietylko chłop ciemny, lecz najszlachetniejszy z ludzi, obdarowanych ciałem, krwią, kośćmi i nerwami. Fałsz tu jest równie namacalny, ale tylko dla bezpośrednich obserwatorów ludowego życia, nie wyłączając i owego szlachcica, który na widok podobnie przybranego chłopa śmiechem wybuchnie, ogół zaś, odsunięty od zetknięcia z ludem, a nieznajdujący w literaturze już nagromadzonych zasobów obserwacyi, na których oprzeć by się mógł w swem sądzeniu — nie potrafi w misternej przędzy fałszu z nitkami prawdy wyróżnić pierwszego, i do reszty obałamucony zostanie tem jeszcze, że owa artystyczna przędza rzucona jest na tło miejscami prawdziwe, miejscami zaś prócz tego — porywająco piękne.

W *Chamie*, po usunięciu dramatu biednej miejskiej sługi, która zbyt późno dostała się pod czyste stropy wiejskiego nieba, zapóźno skąpała się w rzeźwiącem morzu przyrody i w fali czystego i pracowitego życia, by uleczyć chore ciało i okaleczoną duszę, po usunięciu dramatu tego, z prawdą i artyzmem skreślonego — zostaje tylko jedna postać zakończona, dociągnięta do miary, jaką jej przeznaczyła autorka, a pokazana nam w otoczeniu nader prostych i skromnych sylwetek ludowych i na tle wspaniałych obrazów natury. Postać ta, stworzona na miarę świętych, nie zaś chłopów, nabiera w ramach powieściowych wypukłości prawdziwej rzeźby, a to dzięki zestawieniu jej z istotą, nieskończenie niższą, niemal z innego materyału urobioną.

Franka, sługa z miasta, zbrukana i sponiewierana w miejskiem życiu, a w dodatku histeryczka — dostała się na wieś. Zrządzenie nieopatrznie rozbudzonych zachceń rzuciło ją na życiowy szlak Pawła Kobyckiego, chłopa, który ze swej strony nie opierał się zmysłowemu urokowi ładnej kobiety, popartemu natchnieniem nurtującej w nim samym idei ratowania duszy ludzkiej od zatracenia. I oto widzimy żywą istotę ludzką w objęciach marmurowej statuy. Dwa szlaki: czarny i biały, powietrzny i ziemski, szary i słoneczny, jeden — utorowany dla ludzi, drugi — ciernisty nawet dla bogów, zetknęły się wolą artystki i snuły się dalej obok siebie. Naturalnie w tem zespoleniu wytworzyły się kontrasty uderzające i ponętne dla artystycznego oka.

Widzimy więc duszę Franki, zmąconą dymem nieugaszonych żądz, a przy niej — duszę chama, czystą i przezroczą; pierwsza jest świadomą pokus życia i grzeszną, druga — dziecięco naiwną i niewinną; pierwsza jest płytką, w szybkim pędzie prześlizgują się po niej wrażenia zmysłowe; dusza chama jest „jak Niemen" głęboka i z głębin swych wylania ideały prawdy i sprawiedliwości. Pierwsza jest zmienną, ruchliwą, jest grą nerwów niepohamowaną. Cham w łonie swej duszy wypieścił Chrystusową ideę, jest niezmienny w ukochaniu jej i posłuszny jej nakazom nawet wtedy, kiedy przewyższają one hart najsilniejszej duszy człowieczej. Lecz cham ten człowiekiem nie jest. Czegoż bo on nie robi dla umiłowanej przez siebie grzesznicy? Przebacza jej brudną przeszłość i wprowadza w czystą sferę wieśniaczego życia; przebacza jej — próżniactwo, głupotę, niesforne popędy, niedorzeczne w oczach wieśniaka nałogi. Żona go opuszcza i przypomina sobie o nim zaledwie po trzech latach — on jej przebacza; uznaje jej dziecko za swoje i zachowuje spokój wobec śmiechu i urągań ludzkich. Żona wtedy zawiązuje pod okiem jego nowe miłostki — on jej przebacza. Żona usiłuje go otruć — on jej przebacza... Boże! chce się krzyknąć, niechże koniec nastąpi dla tego pasma przewinień i dojdźmy do jakiejś granicy dla heroizmu tego człowieka! Najmniej wybredny ze świętych nabrałby obrzydzenia dla takiej kobiety. Możeby pohamował swój gniew, możeby zbrodniarkę uwolnił z rąk sprawiedliwości ludzkiej, ale zaprzestałby skrobania zgrzebłem cnót swoich po tej bryle błota. Wspaniałością swojej duszy nie dręczyłby nadal, bez najmniejszego pożytku, istoty chorej, obłąkanej, nieszczęśliwej, i rozwiązałby węzeł, który splótł ich istnienia! Franka się zabija (gdyby się nie zabiła, on by jej ustawicznie przebaczał) przygnębiona olśniewającą potęgą duszy swego chama w zestawieniu z obrazem własnej

duszy — nędznej, zbłoconej. Lecz powiedzmy, że i bez takiej reakcyi psychicznej, ta kobieta umrzeć mogła poprostu z irytacyi, jaką w niej budziła anielska cierpliwość jej męża!

Niech mi p. O. wybaczy humor mimowolny, któremu obronić się nie mogę, analizując jej *Chama*. Humor ten stąd tylko płynie, że dostrzegam imponującego jej bohatera w ramkach tak ciasnych, że do kolan mu nawet nie dostają. Tak ciasnemi są zawsze ramki realnego życia, gdy się w nie wciska postacie pochwycone w wysokim locie fantazyi. Nie uśmiech, lecz dreszcz zachwytu budził by ten sam *Cham*, gdybyśmy go oglądali we właściwem otoczeniu takich, jak on sam, olbrzymów, uosabiających wielkie idee.

Otóż *Cham* jest upostaciowaną ideą. To nam objaśnia dlaczego między nim i Franką i wszystkimi otaczającymi go ludźmi leży przepaść, nad którą mostu wyobrazić sobie niepodobna, przepaść, jakiej życie realne między organizmami ludzkimi nie wytwarza nigdy. Jakież przyczyny świadomie lub bezwiednie wpłynęły na to, że p. O. na płaszczyźnie ludowego życia wykopuje takie przepaści?

W plątaninie przypuszczeń, usiłujących rozwiązać to zagadnienie, wikłają się nawet takie zabawne, które, nie mogąc widzieć w *Chamie* — chłopa zwykłego, dostrzegają w nim chłopa „programowego!“ Czy słyszysz to, dobra autorko *Chama*? Więc to program dla chłopów? Niech szukają sobie żon między dotkniętemi histeryą ladacznicami z miast, niech chodują dzieci nieswoje, niech ułatwiają żonom nowe miłostki, niech im pozwalają, by, znudzone, truły ich, a jeśli wykpią się od śmierci, niech zostają nadal w roli ratujących dusze od zatracenia! Chciałbym ująć pani O. odpowiedzialności za ten iście zdumiewający wybryk naiwności, ale echo frazesu, rzuconego głośno, nie milknie, frazes uciera się między ludźmi, i dziś — mistyczny Paweł jest (chamy usłyszcie to i pośmiejcie się nieco tam, na swych nizinach!) — chamem „programowym!“

Więc jakież istotnie ważne motywa, jakie tchnienia w głębi ducha autorki tej zrodzone, jakie zmiany w pasmach idei, przez umysł jej wysnutych, lub w świetle, na nie padającem — zrządziły to, że zaprzeczyła prawdzie życiowej, którą miłować się zdawała, że zaprzeczyła — powiedzmy więcej — tym ciepłym uczuciom, które wiodły ją na niziny? A zaprzeczyła pierwszej, zaprzeczyła i drugim, wiedząc, że nizinom w ich powolnem dobywaniu się na wzgórza społecznego życia, przeszkadza wszystko, co w opisywaniu ich prawdą nie jest!

Przyczyn tych szukać należy głęboko, gdyż głębokim jest umysł, a bezmierną miłość, jaką Orzeszkowa ukochała — człowieka!

Wielki umysł o niedościgłym dla tłumów locie myśli zostaje zawsze w związku z duchem olbrzymim, bezdenną przepaścią być się zdającym dla oczów zwykłych. Łono jego ogarnia niekiedy wszechświat, a przecież zostaje w niem jeszcze próżnia, jedynie tęsknotą, dymem lotnym nieosiągnionych pragnień wypełniona. Duchy takie w chwili — gdy niezmierzone sznury wysnutych przez nie myśli poczynają się zwijać w koła i zamykać w całości, gdy dobytek ich umysłowy staje się tak wielkim, że dla rozejrzenia się po przestrzeni, nim zasłanej, muszą wzlatywać na szczyty wysokie, gdy uczucia ich szukają dla siebie wyrazu jednego i wielkiego, nieznanego tłumom, gdy coraz częściej odrywają się od ziemi, by trącać o stropy nieskończoności — dają się wówczas pociągnąć idei mistycznej. Idea ta, której powolne urabianie się jest zupełnie usprawiedliwionem psychologicznie, może być realną, może być istotnem uogólnieniem myślowej przędzy, logicznie w ciągu długich lat życia wysnutej i może zawierać w sobie skupione w jednym wyrazie uczucia, których brzmienia słabe, porozdzielane, nieuświadomione uderzają o sklepienie, nakrywające falę ludzkiego życia, i odbiwszy się odeń echem jednem, utkwić mogą w słuchu niepospolitego człowieka. Niemal zawsze jednak widzimy, że treść dla tej idei zaczerpniętą bywa jedynie w źródle religijnej ideologii, co też dostrzegamy w Chamie. Cham więc dla mnie jest widomym znakiem mistycznej *) idei, kiełkującej być może dopiero w umyśle jego twórczyni.

Czem w przyszłości uzupełnioną zostanie treść tej idei i w jaką ostateczną formę się ona przeleje? Powtarzam raz jeszcze, że idea ta stać się może realną. Realnym bezwątpienia, choć niedającym się dziś jeszcze w obrazie cielesnym uzmysłowić faktem — jest cel, nęcący myśli tych, którzy przekroczyli kres, odpychający umysły słabe i pospolite. W zawrotnej dla myśli naszych wysokości istnieje i żyje idea, której cień tylko, na ziemię rzucony, oglądać możemy i którą dlatego tylko mistyczną zowiemy, że zarysy cienia tego są dla biednych oczów naszych — niejasne! W jakąkolwiek jednak formę ujęty zostaje mistycyzm — jeśli przyswaja go sobie umysł wielki, rozporządzający talentem, to w owocach mistycyzmu tego odnajdujemy obrazy nieporównanie piękne i tkaniny myśli, uczepione tak wysoko, że patrzymy na nie z dreszczem trwogi i zachwytu.

I Cham, powiedziałem to już i powtarzam, jeśli nie widzieć w nim chłopa, lecz to, czem jest, tj. postać mistyczną — jest niepospolicie pięknym i może zachwyt obudzić. Sądzę jednak, że i sama twórczyni jego nie zaprzeczy temu, że cham jej nietylko chamem programowym, lecz nawet żywym człowiekiem nie jest. Jest on wyrazem, może niezakończonym jeszcze, tej idei, ku której umysł jej zdąża. Dążenie to jest silne i nieprzeparte, jeśli ślady jego odnajdujemy w tej sferze prawdy życiowej, którą pojąć autorka umie, a której odtworzenie w powieści powinno być wyzwolonem z pod tchnień mistycyzmu, zdolnych zgasić płomyk demokratycznych popędów, zaledwie rozniecony w literaturze naszej.

Płomyka tego nikt sztucznie nie wydmuchuje. Cenimy go wtedy tylko, kiedy płonie w nim talent, cenimy zaś o tyle wyżej, o ile podsyca go świadomość ideałów społecznych, tkwiąca w umyśle tego, kto talentem rozporządza. Wielkiej powieści, o której mówiłem wyżej, a która rzucilaby długi promień światła na płaszczyznę ludowego życia, powieści tej nikt się nie domaga, choć wielu jej oczekuje. Daleki jestem od narzucania p. O. zarówno, jak komukolwiek z powieściopisarzy, programów stronniczych i od opłatywania talentu więzami celów wyłącznie utylitarnych, a obawy, jakie we mnie budzi cham, odziany szatą mistyczną, nasuną się, ujęte w formę zarzutu przeciw prawdzie, każdemu, po za wszelkiem stronnictwem stojącemu, lecz sumiennemu obserwatorowi ludu. Znajdą one właściwy oddźwięk nawet w myśli tego, kto w szacie powieściowej tylko artystyczne piękno cenić umie, gdyż i on urażony zostanie dysharmonią, w jakiej idealna rzeźba zostaje z szarem tłem nader pospolitego i dekoracyjnych akcesoryj pozbawionego życia, posłyszy dysonans, jaki wywołać musi idea mistyczna, niedość jasno i zrozumiale sformułowana, a brzmiąca w chórze głosów, które są niekiedy dzikie, pijane, tęskne, wesołe, smutne, lecz zawsze proste i zrozumiałe. Takimi głosami, prostymi i zrozumiałymi, lud skarży się, gdy jest smutny lub tęskni, takimi wypowiada swe nadzieje i radości, takimi zostają one nawet wtedy, gdy są echem jego namiętności, wybuchających purpurowym i złowieszczym płomieniem.

F. G. Brodowski.

*) Dla faktu, który potrącam, trudno jest dobrać nazwy, jasno go wyrażającej, pragnąłbym więc, by nie mieszano mistycyzmu, którego pochodzenie i treść pokazuję, z chimerycznemi urojeniami ciemnych głów.

Z ZACHODU.

Monachium, 12 kwietnia.

Moje *Prima aprilis*. — Przechadzka po Nowej Pinakotece. — Piloty. — Jose Benlliure. — Madonna Dagnan-Bouvereta. — *Bismark* i *Leon XIII* Lenbacha. — Ciekawy poemat z Florencyi. — Duchowny o marzeniach kościoła.

Wybacz, cierpliwy czytelniku, że cię na chwilę zajmę sprostowaniem. Złe duchy, goszczące zwykle w drukarni, sprawiły mi nieprzyjemne *prima aprilis* i w ostatnim liście mym opowiedziały wszem wobec i każdemu z osobna: że „Brandes olśniewa mnie,“ podczas gdy ja napisałem, że Brandes *olśniewać umie*. Niezadowolone z jednego figla, pociły dalej i oznajmiły, że nowela i powieść to forma twórczości, „burząca“ wszystkich, a ja chciałem rzec, iż jest ona *kuszącą*. Gdybyż przynajmniej wydrukowano, że to forma *oburzająca* wszystkich— jej kozłów ofiarnych, tj. krytyków! Wreszcie nie szło mi o zaznaczenie, że psuje ona „wytwórczość“ — niestety, ona ją właśnie potęguje w sposób rozpaczliwy i w rezerwoar wasserzupki zmienia, lecz: *wytworność* smaku. Maleńka różnica!

Oczyściwszy ducha wykreśleniem się z pocztu bezmyślnych chwalców Brandesa i wyjaśniwszy zabawne sprzeczności, w które mię sztuka Gutenberga wplątała, rozpoczynam porządek dzienny — wycieczką artystyczną, do której chętnych zapraszam. Wchodzę do Nowej Pinakoteki i na wstępie uderza mię nieład i dziwna zmiana, z której na razie sprawy zdać sobie nie mogę. Cóż to? „Astrolog Seni przed zwłokami Wallensteina,“ ta przepyszna, pełna tragicznej grozy ilustracya do Szyllerowskiej trylogii — zniknęła? Gdzie się podział ów czarny, posępny wróżbita z miną obojętną, nieruchomą przed bladym trupem? Każdy monachijczyk przywykł już w pierwszym salonie doznawać lekkiego wstrząśnienia na widok bohatera wojny trzydziestoletniej, leżącego tu samotnie, na podłodze, nieopodal łoża, z głową na zwieszonym rogu serwety, prawie że pod stołem, na którym leży jeszcze niedoczytana księga i tli się niedopalona świeca. Pilotemu obraz ten wbrew zarzutom nieprzytomnego realizmu udał się — można całkiem nie znać historyi, a przecież na płótno to nie patrzeć bez dreszczu — dramat jasny, zrozumiały; tłomaczą go doskonale już choćby akcesorya, w których Piloty jest mistrzem niezrównanym.

Rozglądam się dalej i nawprost tegoż samego pędzla „Thusneldy w pochodzie Germanika,“ mdlej w kolorze, martwej i sztucznej w całem zbiegowisku, który przedstawia z olbrzymim nakładem pracy — nie widzę „Zadymki w stepie,“ po której autora w pół-mroku nawet domyśleć się można, tak znamienny jest w swych utworach Józef Brandt. Zniknęła i „Magdalena“ Lefftra i osierocona „Medea“ Feuerbacha, którą zdaleka poznajesz po zawsze jednakim układzie obrazu i smagłej cerze wszystkich jego figur. Dużo smutku i opuszczenia wieje z tej zbolałej postaci. Tuli ona do siebie dwoje chłopiąt, podczas gdy z roztaczającego się przed nią morza żeglarze pół-nadzy pchają do brzegu statek, a stara jej mamka twarz łzami zalaną ukryła w dłoniach...

Coraz przykrzejsze wrażenie robią te ściany, pozbawione swych ozdób, a gdzieniegdzie obdrapane, ze śladami ram na obiciach. Cóż u licha za wandal sprawił to spustoszenie? Nie lękaj się... Wittelsbachowie nie wyrządzą krzywdy artystycznej

swemu ludowi. Poszukawszy tylko dobrze, odnajdziemy rychło usunięte na pozór płótna w innych pokojach — i to z dodatkiem, bo w sąsiedztwie kreacyj nowych, których przed miesiącem jeszcze nie było. Tak, tak... Owa myśl, co zgromadziła w murach Starej Pinakoteki nieprzebrane skarby malarstwa holenderskiego, niemieckiego i włoskiego, czuwa nad tem, ażeby i barwiste płody muzy nowoczesnej były tu reprezentowane, jak przystało.

Rząd poczynił nowe zakupy. Nabył Piglheina „Złożenie do grobu," Boecklina „Grę fal" — najzabawniejszy i najfantystyczniejszy pomysł pod słońcem (o obu wspominałem już kiedyś z okazyi wystawy międzynarodowej) i w wyborze, mojem zdaniem, nie pobłądził. Tak samo raduje oko inna nowość, scena kościelna Benliurego, nabożeństwo majowe w Madrycie, czy coś w tym rodzaju. Magicznie prawie działa na widza ten artysta hiszpański, malujący wszystko z pamięci, bez modeli, a przecież taki żywy, soczysty i kolorystyczny. W utworach jego napotkasz zawsze mnichów ascetycznych, gromady dziatwy uśmiechniętej i postrojonej uroczyście, jak do procesyi Bożego Ciała; kwiatów całe wieńce i bukiety. Jego „Widzenie w Koloseum" na całe życie nie wyjdzie z pamięci temu, kto je raz obejrzał, takie ponure, tajemnicze, chrześciańsko-romantyczne, straszliwie balladowe, z jego ascezą, biczowaniem do krwi, rojami upiorów i duchów i gromadami śmiertelnie bladych dziewic. W „Rozdawaniu nagród" znowu pełno dziatwy różowej, odświętnie przybranej i szeregi dostojnych w szkole gości ze świata i kościoła. W motywie zaś, który teraz oglądają w Pinakotece, jeszcze więcej dzieci w tiulowych sukienkach i kwiatów na dywanach, i świateł jarzących przed wielkim ołtarzem i purpury, którą jest obita ambona, i wspaniałości dygnitarzy duchownych, i kapłanów, i mnichów w pokorze klęczących u progu. A wszystko takie prawdziwe; kilkoma ledwie ruchami pędzla nawiane na płótno. Rzadko o obrazy tak tłumne, a tak mało zdradzające robotę i wysiłek. Rzekłbyś, że je Benliure tworzy dla zabawki, ot tak sobie od niechcenia. Niewysłowiona gracya, bogactwo kolorytu i swoboda, nie odstępują go ani na chwilę. A prócz tego jest to ów szlachetny sposób malowania, który sprawia, że im dalej odchodzisz od ram, tem lepiej wypukla się scena, tem lepsza plastyka figur i perspektywa, tem pyszniejsza gra kolorów. Czuć, że artysta nie kładzie nosa swego na płótno, a okularów na nos, lecz wciąż panuje nad całością i nie dłubie każdego szczególiku w pocie czoła i w tym celu, ażeby go widzieć było tylko na trzy cale od obrazu...

Z równem zadowoleniem patrzy się na „Madonnę" Dagnan-Bouvereta. Stoi ona nieskończenie wyżej od takiegoż obrazu Gabryela Maxa i nie całkiem ginie w milionie waryantów tego odwiecznego pomysłu. Jest to kobieta prosta, o twarzy nader wyrazistej i napiętnowanej smutkiem i macierzyńską troską; chwyta za serce spojrzeniem swem, otwartem, naturalnem i lekko bolesnem. Siedzi ona nieopodal ciesielskiego warsztatu, nad którym na ścianie wiszą narzędzia wybornie, aż do złudzenia uplastycznione. Dzieciątko założyło nóżkę na nóżkę wdzięcznie dla widza i autora, który tym ruchem otrzymał linię ładną. Główki samej nie widać; przytulona do piersi matczynej i zakryta chustą, przebija z pod niej jedynie złotawą aureolą, której górne promienie odbijają się na twarzy Madonny. Efekt to, co prawda, trochę za szykowny, zmusza bowiem do dużego nacisku na refleksach światła i sprawia wrażenia, jak gdyby artyście bardzo wiele na tym popisie pyrotechnicznym zależało.

Ale dlaczego się tak ludzie zachwycają „Potopem" Ludwika Willroidera, trudno mi zrozumieć. Że jest odrębniej, oryginalniej pojęty — to prawda. U Schorna, na olbrzymim jego obrazie, lub u Merwarta, jak u wszystkich prawie innych, dramat potopu rozgrywa się na wierzchołku góry, oblężonej przez fale. Tutaj kompozycya wprost odwrotna. Dokoła — wyniosłości, a sama wieża Babel—w dolinie. Widownia tedy kary bożej jest kotliną, w którą zewsząd wąwozami spadają potoki wezbranych wód; któż zaprzeczy, że w ten sposób wielki kataklizm daje się objaśnić łatwiej i zgodniej z prawami przyrody? Ale na płótnie wielka ta interpretacya, szara od góry do dołu, nie przyciąga do siebie wcale. Zakrawa ona raczej na malowidło z celem praktycznym, ot np. uzmysławiające teoryę geologiczną lub coś podobnego. Za dużo tu jednostajnych cyplów górskich i spienionych kaskad, żeby mogły przejmować grozą. A jeśli niema tragedyi żywiołów, to niema i tragedyi ludzkiej, tłumy adamitów, biegające w rozsypce dokoła wieży, są miniaturowe i grają rolę podrzędną. Przytem na usta ciśnie się wciąż pytanie: dlaczegóż cedry poblizkie są tego samego wzrostu co Babel, a grzeszni śmiertelnicy zamiast budować ją w dole, nie dźwignęli raczej na jednym z przyległych pagórków, dwa razy wyższych, niż fatalna budowla?

Lenbacha, wielkiego portrecisty „Bismark"—to jedna z pereł zakupu. Już pierwszy rzut oka zjednywa cię, bo nie widzisz szablonowego munduru i trzech włosków, lecz strój cywilny i kapelusz filistra na głowie żelaznego księcia. W oczach trochę nieśmiałości, jak gdyby kanclerz czuł się w tem przebraniu lub przed stalugami trochę zażenowanym — ale moc, głębia i wyrazistość rysów pochwycone znakomicie. Lenbach „pakuje" całą swą siłę w oczy, o resztę niedba zgoła — i stąd jego wizerunki są skończonemi odbiciami dusz.

Jako *pendant* wisi — zgadnijcie kto — drugi mocarz świata: Leon XIII. Tu znakomity portrecista, mając pole wdzięczne, bo fizyognomię charakterystyczną, jedyną w swym rodzaju, przeszedł samego siebie. Cały poemat satyryczno-obyczajowy wysnuć można z tego uśmiechniętego lekko oblicza i zwisłej nad lewem okiem powieki.

A jaki poemat — pragniecie wiedzieć? Przeczytajcie sobie broszurę jedną, nader ciekawą, nader doniosłą i gruntowną, jaka wyszła we Florencyi parę tygodni temu. Nosi ona tytuł *Roma e l'Italia e la realtà delle cose*, a rozbiera zaprzątającą dziś ogół kwestyę — władzy świeckiej papieża. Autor ukrył swoje nazwisko, ale znawcy stosunków miejscowych zgodzili się odrazu na to, że jest nim dostojnik kościoła, neapolitańczyk pewien, który żył dłuższy czas w Rzymie i za czasów Piusa IX stykał się bardzo blizko ze sternikami Chrystusowego namiestnictwa.

Wiem, że gdybym streszczenie tej drogocennej książki przetknął własnemi uwagami, hersztowie znanych ulicznych świstaków odegraliby wnet względem mnie zwykłą swą „rolę" i dopomogli tą drogą do spopularyzowania broszury rzeczonej. Wolę jednak być ściśle przedmiotowym i — poprzestać na samych cytatach, o ile one zawierają punkty wytyczne.

Pierwsza brzmi: „Bądźmy szczerzy. Mało jest rządów, któreby przy zgonie swoim zostawiały spuściznę tak ubogą w miłość, jak rządy papieskie. Na co oddawać się złudzeniom i zaprzeczać istnienia tego, co my, kapłani przeklinamy, a co jednak istnieje! Rządy te ani się cieszyły miłością, ani szacunkiem, ani posłuszeństwem; o tem upewnić może autor z długoletniego swego doświadczenia. Z ust jednego z najżarliwszych obrońców władzy świeckiej słyszałem takie słowa: „I cóż wam powiedzieć? Lud w prowincyach naszych (rzymskich) nienawidzi dzisiejszy rząd; ale gdyby jutro miał wkroczyć pułk papieża, wszyscy chwyciliby za broń, by go odeprzeć."

„...Ludność Rzymu woli raczej króla, co dosiada konia i każe maszerować przed sobą batalionom, niż papieża, choćby ten opiekował się nią jak ojciec i dobrodziejstwami obsypywał."

Zaznaczając, że w latach 1859—60 zaledwie tysiąc ochotników stanęło po stronie ojca świętego, a dziesiątki tysięcy młodzieży z najlepszych rodzin walczyły za niepodległość i jedność Włoch, bezimienny pisarz dodaje: „Ci nieliczni, co pospieszyli na pomoc stolicy apostolskiej, zjednali sobie powszechną niechęć, a gdy po wzięciu Rzymu wrócili do swych domów, stali się pośmiewiskiem i celem obelg podrażnionej czerni — nawet w najwierniej katolickich miastach."

Idea jedności włoskiej uczyniła tak bajeczny postęp, że teraz myśl oddania Rzymu papieżowi stała się dla całego narodu wprost śmieszną. Byłby to krok samobójczy, hasło do wojny domowej, obalenia dynastyi i ruiny całego państwa. A pierwszym, coby musiał iść na wygnanie, byłby sam papież.

Mrzonką jest też dyplomatyczne wstawiennictwo mocarstw, no, a już utopią — cudza przemoc dla dobra papieża: „Dzień, w którymby czyjaś armia podeszła wrogo ku granicom Italii z oznajmieniem, iż przybyła oddać głowie kościoła jej świecką koronę, choćby tylko koronę rzymską — ów dzień byłby okropnym! Całe Włochy powstałyby jak jeden mąż, ażeby napaść odeprzeć. Okrzyk gniewu i goryczy wyrwałby się z milionów serc, okrzyk najgłębszej, najdzikszej nienawiści dla papieża. Krew kapłańska lałaby się potokami; niechybnie cały naród odszczepiłby się od stolicy apostolskiej i nawet sama wysoka osobistość ojca świętego nie znalazłaby bezpiecznego schronienia w powadze i potędze kluczów do nieba..."

Ale na tem nie koniec. Takiego objawu nie mogę zbywać kilkoma słowy. Jeszcze więc wiązankę tym podobnych refleksyj zostawiam sobie na później.

Cezary Jellenta.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 21 kwietnia.

„Wilddiebe," komedya nieznanego autora. — „Die Königsbraut" Roberta Fuchsa i J. Schnitzera. — Krytyka publiczna. — „Colombine," operetka Zolsa i Buchbindera. — Koncerty i występ panny Więckowskiej. — Wystawa obrazów i rzeźb w Künstlerhausie; Ajdukiewicza portret arcyksięcia Rudolfa. — „Salon odpalonych." — Wydawnictwo stowarzyszenia prasy zagranicznej.

Odkąd teatr nadworny przeniósł się do wspaniałego budynku na Franzensringu, a dr. Förster objął dyrekcyę tej pierwszorzędnej sceny niemieckiej, zwiększyła się gorączka, z jaką Burgtheater szuka dobrych sztuk, a publiczność ich oczekuje. Od lat trzech przepada w Wiedniu każda nowość, czy te oryginalna, czy to od innych narodów wzięta i podobne zjawisko widzimy w Berlinie. Smak publiczności przewyższa snać talent autorów dramatycznych. Przed miesiącem, amatorowie sceny w Wiedniu i Berlinie zaalarmowani zostali wiadomością, że nieznany autor podał bezimiennie czteroaktową komedyę „Wilddiebe," którą przyjęła dyrekcya Burgtheatru, a po niej, dyrekcya Deutsches Theater w Berlinie, po przejrzeniu pierwszych tylko scen; co więcej, oba teatry zmieniły repertuar zapowiedziany, przerwały rozpoczęte przygotowania i z gorączkowym pośpiechem wzięły się do wystawienia owej wrzekomo znakomitej sztuki, po której spodziewały się niepospolitego tryumfu. Bezimienny zbawca Burgtheatru ukrywał się tak dobrze, że ciekawość publiczności wzrosła do niebywałych rozmiarów. Nadto był on o tyle zręcznym, że odsłonił przyłbicę przed reporterem *N. fr. Presse*, która niezwykłą re-

klamą popierała sztukę przed wystawieniem. Zachwycano się tą komedyą we wszystkich salonach wiedeńskich, zanim ją widziano. Nareszcie nadszedł wieczór przedstawienia; pogłoska, że autor, a właściwie autorka, należy do sfer najwyższych, zwabiła do teatru śmietankę towarzyską. Po pierwszym akcie klaskano — kredyt reklamy jeszcze nie był podkopany; po drugim milczano złowieszczo, a podczas trzeciego rozszedł się po sali kalembur: „Diese Wilddiebe hätte der Förster laufen lassen können.“ Była to zemsta dowcipu wiedeńskiego, który dał był się podejść. Oto pokrótce treść komedyi, którą świeżo z taką pompą pogrzebano w Wiedniu i Berlinie. Głową kółka kawalerskiego, związego się „Wilddiebe,“ jest pan Sorau, który przed laty kilkunastu rozwiódł się był ze swą żoną Julią, a od tego czasu, używając w pełni życia kawalerskiego, wraz z młodszymi przyjaciołmi zwiedza stolicę i miejsca kąpielowe, upatrując bogatej zwierzyny. Sztuka rozpoczyna się w chwili, kiedy Sorau w Ostendzie niespodzianie spotyka żonę. Julia przed laty doniosła mu była, że wyszła powtórnie za mąż za niejakiego Müllera; wiadomość tę wówczas zmyśliła, by odsunąć od siebie raz na zawsze niegodnego małżonka. Obecnie zapomniała o tem, z czego wynikają sceny komiczne, zwłaszcza kiedy obecny właśnie baron Paumann zastępuje mniemanego małżonka. Córka Sorauów, Emma, wyrosła na ujmującą dziewicę; matka wydać ją zamierza za człowieka, którego nie kocha. Ojca i córkę zbliża wnet sympatya; Sorau postanawia ocalić Emmę przed projektowanem małżeństwem, uciekając z nią. W tym celu zamawia w hotelu krytą karetę. Młody przyjaciel jego, Maks von Thunner, który tymczasem zakochał się był w Emmie, słyszy to zlecenie, a podejrzywając Sorana o inny zamiar, krzyżuje jego plany. O godzinie umówionej zamyka Sorana w pokoju, a sam w jego płaszczu oczekuje na Emmę i z nią jedzie na dworzec. Na pukanie Sorana przybywa żona jego z listem Emmy, zapowiadającym ucieczkę w towarzystwie ojca. Mija chwila komicznego nieporozumienia i rozpaczy; tymczasem anglik Brown, spotkawszy na dworcu Thunnera z płaczącą Emmą, każe go aresztować, a ją przywozi z powrotem do hotelu. Akt trzeci: pojednanie, zaręczyny, życzenia.

Trudno entuzyazmować się dla sztuki podobnej; ochłonięto tem bardziej, kiedy przypomniano sobie, że myśl jej zapożyczoną jest u Sardou'a (Les vieux garçons), a Sorau, Thunner i Knöpke, to Mortemer, Clavières i Beaucourtois, którzy niestety w drodze ze sztuki francuskiej do przeróbki niemieckiej stracili — dowcip.

Z wielkiem zajęciem oczekiwał też świat muzyczny na nową operę, zapowiedzianą przez dyrekcyę opery wiedeńskiej „Die Königsbraut.“ Kompozytor Fuchs zdobył sobie był znaczny rozgłos serenadami, powszechnie grywanemi; z zaufaniem do twórcy łączyła się nadzieja, że znany, zajmujący motyw libretta odpowiednio będzie wyzyskanym przez Schnitzera, autora tekstu. Historya pięknej Elfriedy i króla Edgara, Don-Juana angielskiego, wielokrotnie już opracowywaną była dla sceny. Najdawniejsze źródło, pamiętnik łaciński mnicha Malerbury, podaje opowieść w formie następującej: Edgarowi tak wychwalali dworzanie piękność Elfriedy, córki hr. Orgara, że wysłał doń hr. Ethelwoda z prośbą o jej rękę. Ethelwod, ujęty wdziękami Elfriedy, zamilcza o zleceniu i zdobywa ją dla siebie, królowi zaś donosi, że jest to dziewczyna zwykła, niegodna jego ręki. Prosi jednak o pozwolenie poślubienia jej dla jej bogactw. Edgarowi, zajętemu tymczasem inną kobietą, odsłaniają niebawem dworzanie prawdziwy stan rzeczy; zamawia się on do Ethelwoda na polowanie. Ethelwod błaga żonę, by ukryła piękność swą pod sztuczną maską i w ten sposób ocaliła go przed zemstą króla. Elfrieda zaś, mszcząc się na małżonku, który ją pozbawił tronu, wspaniałym strojem podnosi swe wdzięki, a zachwycony Edgar przeszywa Ethelwoda oszczepem. Podanie to ujęli w formę dramatyczną anglicy, francuzi i hiszpanie (Lope de Vega), z niemców Bertuch i Klinger, Markgraff i Paweł Heyse. Wiadomo, że i Schillera zajmował plan tragedyi na tem tle osnutej. Z kompozytorów operowych napisał „Elfridę“ jedyny Paisiello (1773); opera jego mało była znaną. Schnitzer, zmieniając podanie pierwotne, ułożył libretto opery romantyczno-komicznej. Ethelwod wchodzi w przebraniu majtka; w Canterbury, gdzie król chce poślubić Elfriedę, styka się z żoną swą w porcie. Elfrieda, kochająca szczerze małżonka, żałuje i postanawia z nim uciec. W tym celu oświadcza swą miłość hrabiemu Gurthowi i w oka mgnieniu skłania go do ucieczki na czółnie, którego sternikiem jest Ethelwod. Tymczasem król starodawnym zwyczajem odbywa sądy publiczne. Tam kasztelan i pokojówka Ethelwoda powodują królà zmyślonemi skargami do wygłoszenia wyroku, że państwo jego opuścić ma każdy, co burzy szczęście małżeńskie — poczem naturalnie przebaczyć musi Ethelwodowi. Czyni to tem chętniej, że sercem jego zawładnęła tymczasem Edyta, siostra Ethelwoda. Szczęśliwe rozwiązanie zawikłania należy do praw poety; razi jednak operetkowy sposób, użyty przez Schnitzera. Zresztą libretto jest ociężałe, brak akcyi równoległej, potrzebnej w operze komicznej, występuje tem bardziej, że pieśni, zatykające dziury akcyi, są bez dowcipu i wdzięku. Fuchs, nie występując nigdzie przeciw dobremu smakowi muzycznemu, nie umiał jednak zawładnąć motywami dramatycznymi i rozwiązał je na szereg lirycznych, świeżych, melodyjnych i instrumentowanych starannie. Romantyczna muzyka jego trzyma się w ramach stylu konwencyonalnego, stworzonego przez Lortzinga, Mendelsohna, Webera i Schumanna. Tu i owdzie grzmią też kotły Wagnerowskie, bez których dziś opera obyć się nie może. Najlepiej udały się Fucksowi ustępy komiczne. Wogóle publiczność o wiele bardziej zadowoloną była z kompozytora, aniżeli z librecisty, o czem świadczy koncept: Fuchs popełnił „sznicera“ (pomyłkę), prosząc Schnitzera o libretto, Schnitzer zaś był lisem (Fuchs), pisząc dla Fuchsa.

Kończąc sprawozdanie o wiedeńskich nowościach scenicznych, wspomnieć jeszcze winniśmy o oryginalnej operetce młodego kompozytora Zoisa, „Colombine,“ wystawionej w Karlteatrze. Wesołe i udatne libretto Buchbindera zawiera akcyę następującą: Margrabina Pompadour szuka córki, którą przed laty pod opieką osoby zaufanej wysłała była za granicę; córkę tę odnajduje w śpiewaczce opery komicznej. Kompozytor, któremu librecista dał sposobność do rozwinięcia wszystkich stron muzycznego uzdolnienia, starał się widocznie wydobyć z orkiestry i z śpiewu wszystkie rodzaje efektów. Operetka ta miała wielkie powodzenie.

Na estradzie koncertowej występowali po Joachimie liczni jeszcze pierwszorzędni wirtuozi, że wspomniemy tylko o Sarasatem, Havenhagenie, pani Essipow-Leszetyckiej i Ksawerze Szarwence. Z prawdziwem namaszczeniem gromadzi się świat muzyczny na koncerty filharmonistów wiedeńskich w przepysznej, wielkiej sali konserwatoryum. Na ostatnim wystąpiła uczennica Leszetyckiego, panna Melania Więckowska. Już dopuszczenie do udziału uważanem tu jest jako zaszczyt tak wielki, że krytyka ostrzyć sobie zwykła zęby na siły młode, występujące w gronie tak poważnem. Hanslick, tak się wyraża o p. Więckowskiej: „Odegrała utwory Bacha, Searlattiego i waryacye „Gigi“ Raffa. Interpretacya jej, nader staranna, nosi cechę owej szkoły francusko-polskiej, która dąży głównie do uwydatnienia „esprit“ i z powną, chłodną wyższością wybija z osobna każdą nutę. Jest to kierunek niebezpieczny dla panien młodych, które i tak skłonne są do przesadnego uwydatniania szczegółów.“ Wada podniesiona przez Hanslicka właściwą jest wszystkim niemal uczniom Leszetyckiego, który lubuje się w dziwnem przerywaniu rytmów. Po za tą właściwością p. Więckowska jest pianistką wyborną, co też uznali za Hanslickiem wszyscy krytycy wiedeńscy.

Z wiosną rozpoczęła się pora wystaw. Oprócz stałej w Kunstvereinie, otworzono wielką, międzynarodową, doroczną wystawę w Künstlerhausie, w której spotykamy szereg płócien artystów polskich. Dziś wspomniemy tylko o słynnym obrazie Tadeusza Ajdukiewicza, który portretował Rudolfa tuż przed śmiercią jego. Artysta, który niechętnie używa płócien większych, przedstawił arcyksięcia siedzącego na koniu w rozmiarach małych, za to jednak obraz jego wypadł świetnie pod każdym względem. Wskutek smutnej katastrofy, która sprawiła, że świat zażądał od razu całej armii portretów nieboszczyka, obraz Ajdukiewicza wszystkim był znany, zanim jeszcze wystawiono go publicznie. Cesarz, zwiedzając wystawę, długo stał przed tym portretem, podziwiając podobieństwo. Świadectwo to nie mniej chlubnem było dla artysty od uznania krytyki, która podniosła i techniczne zalety obrazu.

Walka w łonie artystycznego świata wiedeńskiego, która wre zwykle najgoręcej w czasie otwarcia wystawy, tym razem zainteresowała szeroką publiczność i prasę. Po kilku latach starań bezustannych, naturaliści wiedeńscy utorowali sobie drogę do komitetu znawców, a obecnie, mszcząc się za doznane krzywdy, tak niemiłosiernie gospodarowali przy urządzaniu wystawy, że całemu zastępowi znanych artystów odesłali obrazy i rzeźby, nie przyjmując ich do wystawy Künstlerhausu. Skrzywdzeni, w kilku burzliwych posiedzeniach postanowili zaprotestować przeciw samowolnemu postępowaniu znawców, i otworzyć wystawę konkurencyjną pod nazwą „Salon der zurückgewiesenen.“ Zgromadzono istotnie rzeczy wielce cenne, a poparcie prasy i spora liczba gości ze sfer najwyższych, okazujących zajęcie dla energicznych artystów, zapewniły przedsiębiorstwu temu powodzenie.

Na zakończenie słówko o wydawnictwie prasy zagranicznej, które pojawiło się pod redakcyą Alfreda Szczepańskiego. Wydawnictwo to, jednorazowe, wydrukowane w szóstą rocznicę powstania Stowarzyszenia korespondentów, zawiera wiele licznych artykułów, przeważnie humorystycznej natury, pisanych we wszystkich językach europejskich. P. A. Szczepański pomieścił „Kilka szczegółów o umysłowej produkcyi polskiej.“ Wskazawszy na ważność literatury i sztuki naszej dla zagranicy, wylicza najwybitniejszych u nas przedstawicieli sztuki, poezyi opisowej i dramatycznej. Do najważniejszych pism politycznych zalicza *Kuryer warsz.* Wreszcie podane są główne ogniska naukowej działalności oraz pisma poważniejsze, o charakterze popularno-naukowym; żałować wypada, że autor pominął tu milczeniem postępowe tygodniki warszawskie, które przewyższają podobne wydawnictwa zagraniczne, a zwłaszcza niemieckie. Pragnącym zapoznać się z jakimkolwiek działem umysłowej produkcyi, syndykat Stowarzyszenia udziela informacyj. Być może, że publikacya ta przyczyni się do wzrostu zajęcia narodów europejskich dla literatury naszej.

Stwosz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kobiety ginące w mężczyznach. — O Niezapominajce i Szuwarze. — Pani Snieżko Zapolska o emancypacyi kobiet. — O złotowłosej Ewie. — Macierzyństwo i aktorstwo. — Strachy chirurgiczne. — Odpowiedź przyjaciółki. — Echo czasów odległych. — Wyjaśnienia w sprawie kanalizacyi. — Zupełna i... warszawska. — Zmarnowane środki.

Etnolog, przeglądający listę naszych „kwestujących dam," spotyka w niej fakt godny uwagi i wymowny. Nowoczesne prawa i zwyczaje topią jeszcze kobietę w mężczyźnie, ale pozwalają jej wynurzać warkocz, za który ją w razie niebezpieczeństwa wyciągnąć można. Wyszedłszy za mąż, staje się ona nieletnią, traci prawo do swego majątku, obywatelstwo, nawet nazwisko, ale zatrzymuje maleńki kwitek, na mocy którego wyprocesowywa sobie względną niezależność. Tym kwitkiem jest jej imię i nazwisko rodowe. Dotychczas zachowywała ona oba, starała się wyglądać przynajmniej jak książka z futerału, który tytułem na grzbiecie wykazuje, że jest czemś od niego odrębnem. Wyznaję, że zawsze szanuję tę resztkę i z przyjemnością patrzę na bilet z napisem: Julia z Niezapominajek Szuwar. Szuwar przez małżeństwo pochłonął Niezapominajkę, ale ona ratuje i ocala swą indywidualność, chce być ciągle sobą, chociaż została cudzą żoną. Dzięki modzie francuskiej, która pod błyszczącą gazą rozpościera często po Europie najgrubsze szmaty barbarzyństwa, przepadła i ta resztka samoistności kobiecej. Dziś już znika nietylko Niezapominajka, ale nawet Julia, nietylko nazwisko rodowe kobiety, ale nawet jej imię; dziś żona Józefa Szuwara nazywa się Józefową Szuwarową. A jakżeby ochrzcić jego kamizelkę, koszulę, czapkę? Również Józefową Szuwarową. Bo to także jego własność, którą tylko w ten sposób wyrazić można. Jak rzekłem — dla etnologa, a poniekąd i dla socyologa, wogóle dla badacza kultury jest to objaw cenny. Świadczy on, że po za niewielkiem kołem umysłów z natury mocnych lub doświadczeniami życia rozwiniętych, dla ogółu niewieściego samoistność jeszcze dziś jest równie pożądaną jak staropanieństwo. Ogół ten szepcze, mówi, krzyczy wszystkimi świadomymi i nieświadomymi głosami: męża, męża dajcie, niech w nim przepadnę, niech w nim utonę nawet z warkoczem.

Dziwnym, bardzo dziwnym jest nasz wiek, ten bogaty nędzarz, silny niedołęga, postępowy wstecznik, bezbożny bigot, mądry głupiec, ten wiek, w którym obok siebie żyją i nieraz spajają się pierwiastki z przeciwległych końców rozwoju ludzkiego, ten wiek, w którym do tysiąców ludzi można przemawiać bez żadnego sensu i być słuchanym a nawet podziwianym. P. Śnieżko-Zapolska odezwała się w *Kuryerze warszawskim* o „emancypacyi" kobiet. Autorka spostrzegła, że sprawa ta nie jest jeszcze i nie będzie rozstrzygniętą, dopóki ona na szalę nie rzuci swojego głosu. Więc wezwana do urny przez przyjaciółkę, spełniła swój obywatelski obowiązek, złożywszy kartkę, jako „postępowa i realistka" z najzupełniejszą wiarą, że należy do tych, które potrzebują tylko oświadczyć: „nie chcę kobiet-lekarzy, prawników, weterynarzy"— i kobiet takich nie będzie lub też stracą one na swej wartości. Niema bardziej morderczej broni na pewne umysły nad prosty zdrowy rozsądek; dość je z nimi skonfrontować, ażeby się okryły zabójczą śmiesznością. P. Śnieżko-Zapolska rozpoczyna i kończy swój wylew mimowolnego humoru wyznaniem: „kobietą jestem i tylko kobietą chcę zostać do zgonu." Otóż pragnąłbym, ażeby ktoś, którego życzenia ona uwzględnia, poprosił ją, ażeby kobietą być przestała, już nie „do zgonu," ale bodaj na pięć minut? Coby też zrobiła? Mnie się zdaje, że wszelkie wysiłki nieby nie pomogły i chcąc nie chcąc, kobietą zostać musi — aż „do zgonu." Co najwyżej, zdołałaby przyswoić sobie kilka przymiotów logicznego rozumowania męskiego, których jej dziś brak. Brak przerażający. Pocieszniejszy bowiem od „niechcenia" p. Śn. Z. jest jej wywód. Mianowicie „gdy Bóg wypędzał Ewę z raju, powiedział do niej: matką będziesz... Wyrok ten spadł jeszcze przed potopem na złotą (!) głowę Ewy, gdy swe ranne (?) sploty rozwiewała w słońcu porannem i trwa już wieki całe." Ponieważ autorka posiada tak dokładne wiadomości o raju, że nietylko wie, co Bóg rzekł do Ewy, ale nawet jakie nasza prarodzicielka miała włosy i co robiła podczas ogłoszenia wyroku, więc my, żadnych informacyj w tym przedmiocie nieposiadający, musimy poważnemu świadectwu wierzyć. Ale jeżeli Ewa i wszystkie jej córki istotnie skazane zostały tylko na macierzyństwo i jeżeli ono wyłącza kobietę od praw zawodowych, to również zabrania jej być aktorką. Pani Śn. Z. wcale nie wspomina, ażeby Bóg Ewie na to zajęcie pozwolił. A jednakże ono również przeszkadza tej sielance macierzyńskiej, której autorka-aktorka tak broni. „Ty przedewszystkiem należysz do rodziny, do męża, do twego dziecka — uczy ona swą przyjaciółkę. I od nich to, od twych ukochanych odrywać się masz, porzucać ich bez opieki, bez twego uśmiechu, aby biedz bronić złodzieja, który ukradł kawałek płotu lub puszczać krew chorej krowie?.. Spędź dzień cały na nogach, przebiegnij pięćdziesiąt pięter, a zobaczysz, czy powróciwszy do domu, będziesz miała siłę utulić płaczące dziecko, policzyć bieliznę i pogderać na służące." Frazes ten możnaby z równą słusznością wyrazić tak: Od rodziny, od tych ukochanych masz się odrywać dla odegrania na scenie wietrznicy, plotkarki, idyotki, złodziejki? Czy spędziwszy cały wieczór w teatrze, będziesz miała siłę bodajby tylko pogderania na służące? Męża twego i dzieci musisz porzucić dla wzruszania słuchaczów melodramatem lub głupią farsą? Jakże to wszystko pogodzić z „wyrokiem," wydanym na córki „złotowłosej" Ewy? „Ja na kwestyę emancypacyi zapatruję się *po swojemu*, zdrowo, trzeźwo, realistycznie" — powiada p. Śn. Z.; tymczasem zapatruje się ona tylko „po swojemu," tj. naiwnie. Dla przerażenia swej przyjaciółki trudami lekarza — pisze: „Rano, skoro świt (!), przegląda stosy (!) medycznych dzienników, później biegnie do chorych, wstępuje do szpitali (!), do prosektorium (?), do teatru anatomicznego (!!)"—itd. Jest to bajda „realistyczna." Lekarz bowiem nie potrzebuje przeglądać żadnych „stosów," wstępować do „szpitalów," ani do „prosektorium," ani do „teatru anatomicznego" (jeżeli tam niema stałego zajęcia). Trzeba dokonać operacyi. „Ty jesteś kłębkiem nerwów" — woła p. Śn. Z. w przypuszczeniu, że mężczyzna nie jest „kłębkiem nerwów." „Jęk kobiety, rozciągniętej na marmurowej płycie, jęk straszny, okropny, przenikający do głębi — czy nie wstrząśnie tobą? Nie zadrga w twej ręce nóż i drgnięciem tem o włosek nie zanurzy się głębiej, niż powinien?" Jeżeli przyjaciółka, którą ten melodramat chirurgiczny ma odstraszyć od „togi doktorskiej," posiada zdrowy rozsądek i jaką taką wiedzę, odpowie autorce: „Kochana Gabryniu. Zamiast drżeć, śmiałam się, czytając twoje przestrogi. Mój nóż operacyjny ani „o włosek nie zanurzy się głębiej" w ciało owej kobiety, „rozciągniętej na płycie marmurowej" z tego prostego powodu, że ją wprzód uśpię chloroformem i jęczeć wcale nie będzie. Co zaś do wpływu migreny i zdrady męża na pewność mojej ręki, to zwracam ci uwagę, że mężczyzni również cierpią na migrenę i bywają zdradzani, a jednakże to im nie przeszkadza robić operacyi z wielkim spokojem. Nie przypuszczam zaś, ażebyś sądziła, że żaden lekarz nie ma migreny i niewiernej żony, a wszystkie lekarki znajdują się w położeniu przeciwnem." Do tego listu dołączyłbym jeszcze następujący przypisek: Autorka powiada: „w kobiecie widzi się zawsze plotkarkę." Otóż jej artykuł jest plotką emancypacyi, rozpowiada bowiem o niej banialuki. Z „realizmem" ma p. Śn. Z. tyle wspólnego, że barwy swych malowideł powieściowych zaprawia mocno tłuszczem naturalistycznym, z „postępowością" zaś nie pozostaje nawet w dalekiem pokrewieństwie. Pisząc zaś swe ćwiczenia, miała tylko jeden moment jasny, w którym jej błysnęła myśl: „Być może, że to, co mówię, są proste komunały." Właściwie gorzej niż komunały. Bo w takiem „credo" odbija się echo tego dzikiego stanu społeczeństwa, kiedy kobieta wskakuje w grób mężczyzny lub pali się dobrowolnie, gdyż nie może istnieć bez niego, a pragnie mu nawet w drugiem życiu służyć i jego dzieci niańczyć.

Od jednego z inżenierów, zajmujących się sprawą kanalizacyi, odbieram następujące sprostowanie uwag, poświęconych temu przedmiotowi w numerze poprzednim. Różnica między p. prezydentem a p. Blochem i tą grupą obywateli, których on do ataku prowadzi, spoczywa nie w przymusie i dobrowolności, ale w kanalizacyi zupełnej, której żąda gen. Starynkiewicz, a niezupełnej — że tak powiem warszawskiej — której domagają się ci panowie. Chcą oni tylko ulepszyć obecne urządzenia w domach, nadsztukować niektóre brakujące jej ogniwa pracą ludzką i wytworzyć tandetę, która zadań swych należycie nie spełni i dalszy rozwój przedsięwzięcia zatamuje. Kanalizacya wtedy osiąga swój cel, jeśli działa mechanicznie, nie licząc na to, że ludzie pomagać jej będą zamilowaniem czystości, bo taka rachuba zawodzi. Kiedy Warszawa zdobyła się na skanalizowanie ulic, powinna odpowiednio skanalizować domy, inaczej zmarnuje miliony na robotę niezupełną, kaleką, cudaczną. Skoro tylko p. prezydent odstąpił od zasady przymusu, prowadzona przeciw niemu kampania traci wszelką podstawę, staje się wprost zagadkową, zasłaniającą jakieś inne cele. Bo przecież nie może już być mowy o „rujnowaniu" biedniejszych właścicieli domów, skoro im będzie zostawiona swoboda rujnowania się. Mogą oni tylko ucierpieć z całkiem innego powodu, mianowicie z braku lokatorów, którzy wynajmować będą — jak to już dziś czynią — przedewszystkiem mieszkania skanalizowane. Niema w całym tym harmidrze — mówi dalej mój sprawozdawca — śmieszniejszego twierdzenia nad to, że koszta skanalizowania domów zapłacą właściciele, pokryją je bowiem wyłącznie i z sowitym naddatkiem lokatorowie. Kto o tem wątpi, niech przejrzy karty wynajmu mieszkań skanalizowanych, wszędzie dostrzeże podwyżkę, którą publiczność chętnie przyjmuje. Słowem, niema żadnego względu, któryby przemawiał przeciwko rozumnemu, uczciwemu, przez najlepsze chęci wspartemu stanowisku prezydenta w tej sprawie: jeżeli jego zasada się utrzyma, powoli, w ciągu lat, Warszawa przeprowadzi kanalizacyę zupełną, zapewniającą jej mieszkańcom warunki zdrowia i wygody; tymczasem gdyby miał zwyciężyć projekt p. Blocha i jego zastępu, miasto zyska „ni psa ni wydrę," fuszerkę podwójnie szkodliwą, bo naprzód nieodpowiednią celowi, a następnie paraliżującą dalszy rozwój dzieła. Na takie przedsięwzięcie szkoda starań, pracy, a nadewszystko milionów rubli. Lepiej było „bei der alten Leier bleiben." Mamy jednak nadzieję, że dzięki staraniom szanownego prezydenta, kanalizacya „warszawska," podobno całemu światu nieznana, zabalsamuje się tylko jako pamiątka w zamiarach swych twórców.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytety. Według *Rusk. Wied.*, wkrótce ma być zniesiony system obliczania honoraryum profesorskiego. Nowa ustawa uniwersytecka głosi, iż wynagrodzenie profesora zależy od liczby lekcyj i słuchaczów. Tym sposobem profesorowie wykładający na liczniejszych wydziałach otrzymywali dodatki do pensyj, wynoszące nieraz kilka tysięcy rubli, podczas gdy inni pobierali płacę dodatkową w ilości zaledwie 100—200 rs. Według projektu, nadal honoraryum będzie stałe: dla profesorów zwyczajnych 1,500 rs., dla nadzwyczajnych 800 rs.

Wystawa. W Petersburgu jednocześnie ze zjazdem przedstawicieli wykształcenia technicznego, odbędzie się wystawa robót uczniów wszelkich szkół technicznych i przemysłowych męzkich oraz żeńskich. Obejmie ona następujące grupy: a) zakłady techniczne i przemysłowe męzkie; b) zakłady rzemieślnicze żeńskie; c) nauczanie pracy ręcznej i rzemiosł; d) dział graficzny; e) nauczanie robotników małoletnich i dorosłych w szkołach ogólnych i specyalnych, nauczanie rzemiosł w szkołach głuchoniemych, koloniach dla małoletnich przestępców, więzieniach itd.; f) podręczniki, wydawnictwa specyalne itd.

Zjazd ósmy lekarzy i przyrodników ruskich odbędzie się w Petersburgu w roku przyszłym.

Bank państwa. Wkładów terminowych znajduje się w petersburskim Banku państwa 3,685 milionów rubli, w innych zaś oddziałach 6,353 milionów, czyli razem przeszło 100 milionów rubli, od których roczny procent wynosi milion rs. *Birż. Wied.* wyjaśniają, że Bank państwa, znosząc wszelkie wynagrodzenia pieniężne od kapitałów składanych na rachunek bieżący, postępuje za przykładem banków zagranicznych, w których przyjęto taką zasadę nawet względem wkładów do żądania. Zarząd Banku państwa zachowuje jednak wynagrodzenie od tych ostatnich bez zmiany, tj. 2% rocznie. Tego rodzaju kapitałów znajduje się w kantorze petersburskim na 22 milionów rubli, w innych zaś oddziałach na 105 mil. rs.

Ministeryum oświaty rozesłało kuratorom okręgów naukowych następujące zawiadomienie: Kilka lat temu w ministeryum oświaty podniesiono sprawę utworzenia kasy emerytalnej dla wykładających w szkołach elementarnych w całem państwie. Wobec tego ministeryum uchyliło projekty utworzenia kilku kas, mających ten sam cel na względzie. Obecnie prace około wykonania projektu rządowego prowadzone są w dalszym ciągu i będą już wkrótce ukończone. Według rzeczonego projektu postanowiono zapewnić emeryturę oraz zapomogi wszystkim nauczycielom i nauczycielkom szkół miejskich i wiejskich a także ich rodzinom. Prawo do emerytury daje przesłużenie lat 15, 20, 25.

Birż. Wied. donoszą, iż projekt utworzenia w Petersburgu banku francusko-ruskiego rozchwiał się, natomiast układy o nabycie przez pewną grupę finansistów francuskich zakładów przemysłowych v. Kramsty doszedł do pomyślnych rezultatów.

Podatek. Według *Pet. Wied.*, istnieje projekt wprowadzenia banderoll dla kosmetyków, mydeł itd., z wyjątkiem najtańszych gatunków.

Reforma sądowa. *Sudieb. Gaz.* donosi, że przy zbliżającem się wprowadzeniu reformy sądowej w guberniach nadbałtyckich, obsadzanie urzędów nastąpi na takich samych zasadach, jakie przed trzynastu laty przyjęte były przy zreformowaniu sądownictwa w Królestwie Polskiem i że skutkiem tego na posady w sądownictwie ogólnem mianowane będą tylko osoby z wykształceniem uniwersyteckiem lub też mające za sobą przynajmniej trzyletnie urzędowanie w instytucyach sądowych, działających podług ustaw 1864 r.

Żydzi. *Woschod* zamieścił w ostatnim numerze przyczynek do sprawy żydowskiej w gub. zachodnich Cesarstwa. Policmajster kijowski odmówił niedawno wydania karty pobytu w Kijowie dziedzicznemu obywatelowi honorowemu m. Proskurowa, Markusowi H., jako żydowi i rozkazał mu opuścić Kijów przed upływem dni dziesięciu. Interesowany wniósł skargę do miejscowego rządu gubernialnego, który orzekł, iż żydom, należącym do rzędu dziedzicznych obywateli honorowych, służy prawo zamieszkania w Kijowie na ogólnych zasadach i że skutkiem tego postanowienie policmajstra, jako bezzasadne i z prawem niezgodne, na uchylenie zasługuje.

Egzaminy aptekarskie. Rada państwa orzekła: W uzupełnieniu przepisów postanowić: 1) Na korzyść uniwersytetów pobiera się oddzielną opłatę od każdej osoby, przystępującej do egzaminu na stopień pomocnika aptekarskiego w ilości 5 rs., na stopień prowizora — 10 rs. 2) Opłatę rzeczoną zalicza się do specyalnych środków uniwersytetu, przy którym odbywały się egzaminy, a to w celu pokrycia kosztów, wynikających z urządzania preparatów farmaceutycznych.

Szkoły. Z rozporządzenia ministeryum oświaty wszystkie szkoły niemieckie w gub. wołyńskiej i podolskiej zostały oddane pod zwierzchni kierunek ministeryum. Obecnie we wszystkich szkołach kolonij niemieckich początkowa nauka czytania i rachunków powinna się odbywać w języku ruskim, a tylko nauka modlitw i katechizmu może być prowadzoną w języku niemieckim.

Z Krakowa donoszą, iż proces agentów pośredniczących w wychodźtwie do Ameryki, odbędzie się we wrześniu r. b. w Wadowicach.

Ze Lwowa donoszą, iż na porządku dziennym zjazdu prawników i ekonomistów we wrześniu r. b. będą następujące rozprawy: „O prawie własności i ograniczeniach jego w górnictwie,“ przez dr. Caro ze Lwowa; „O stanowisku kobiety w ustawodawstwie,“ przez dr. Malaczyńskiego ze Lwowa; „O reformie prawodawstwa spadkowego dla realności włościańskich i o zakresie podzielności gruntów włościańskich,“ przez dr. Vaghingera z Nowego Sącza; „Na jakiej drodze zasada: siła przed prawem, stopniowo usunięta być może z polityki mocarstw europejskich,“ przez Witolda Skarzyńskiego z Poznania; „Szkic historyczny rozwoju polskiego rolnictwa w Prusach i ogólny pogląd na obecne położenie tak większej jak mniejszej własności ziemskiej w Poznańskiem,“ przez tegoż; „O spółkach wodnych,“ przez F. Flamma z Warszawy; „O budżecie Galicyi i konieczności reformy finansów krajowych,“ przez dr. J. Lea z Krakowa; „O dzierżawach włościańskich,“ przez prof. dr. Miklaszewskiego z Krakowa; „O małżeństwach t. z. siedmiogrodzkich,“ przez prof. Solowija ze Lwowa.

Sprostowanie. W poprzednim numerze w kronice w wiadomości „Pożary,“ powinno być Dakota, a nie Dukota.

Ogłoszenia.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

A. Świętochowski. **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 k. 50.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron w urywkach** — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Nakładem Księgarni **H. OLAWSKIEGO**, w Warszawie, Mazowiecka Nr. 6, wyszedł **zeszyt pierwszy**

SIŁY PRZYRODY

popularny wykład fizyki

A. Guillemina.

Cena zeszytu kop. 20. Nadsyłający z prowincyi za 5 zeszytów z góry, otrzymują takowe franco.

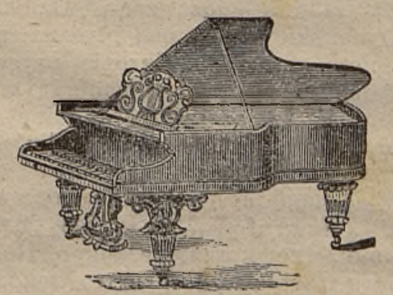
GEBETHNER I WOLFF

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Największy w Kraju

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.



Wynajem instrumentów.

SPRZEDAŻ NA RATY.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz S. System socyologii—rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi. str. 93 — k. 60.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Апреля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.